Nr. 21. Poznań, Niedziela, dnia 25-go Maja 1902 r. Rok VI.



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie 1,25 mk.; na poczcie w Austro-Węgrzech 1 kor. 73 hal
Pod opaską: w Niemczech 1,90 mr., w Austro-Węgrzech 2 kor. 30 hal., za Oceanem 1 dolar 25 cent.
Redakcya i Administracya „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 1246.

Manuskryptów nie zwraca się.

ODEZWA.

Celem uczczenia 25-letnich rządów

Ojca św. Leona XIII

odbędzie się dnia 26 maja r. b. o godz. ½1 w południe w sali Ogrodu Zoologicznego w Poznaniu

Wiec jubileuszowy,

na który uprzejmie zapraszamy.

Bliższe szczegóły ogłosi komitet miejscowy przygotowawczy.

Poznań, 15 maja 1902.

Kazimierz Chłapowski z Kopaszewa, przewodniczący komitetu ogólnego.

Adam Woliński, przewodniczący komitetu miejscowego.

Włodzimierz Adamski. Ignacy Andrzejewski. Marcin Andrzejewski. Julian Brzeski. Hrabia Benzelstjerna Engestroem. Dr. Tadeusz Bolewski. Książę Zdzisław Czartoryski. Henryk Chłapowski. Zygmunt Chłapowski. Dr. Zygmunt Celichowski. Dr. Witold Celichowski. Szambelan Stefan Cegielski. Stefan Chociszewski. Chełkowski. Ks. kanonik dr. Dalbor. Wacław Dolacki. Ks. kanonik Echaust. Dr. Bolesław Erzepki. Dr. Paweł Gantkowski. Władysław Glabisz. Ksiądz proboszcz Stanisław Gładysz. Dr. Piotr Hylla. Ks. dziekan Jan Janas. Radzca miasta Bolesław Jagielski. Józef Jasiński. Ksiądz prałat Jaskulski. Dr. Stanisław Jerzykowski. Dr. Bolesław Kapuściński. Ks. Józef Kłos. Stanisław Knapowski. Ks. radzca Kotecki. Ks. radzca Kolasiński. Ks. proboszcz Kostencki. Józef Kościelski. Dr. Franciszek Kożuszkiewicz. Władysław Kaczmarek. Franciszek Krysiak. Józef Kużaj. Teodor Krause. Dr. Józef Kusztelan. Hr. Mieczysław Kwilecki. Hr. Franciszek Kwilecki. Hr. Hektor Kwilecki. Ks. prałat Kulesza. Dr. Władysław Łebiński. Walery Łebiński. Jan Leitgeber. Zenon Lewandowski. Ks. kapelan Stanisław Łukomski. Ks. prałat dr. Lewicki. Henryk Mańkowski. Józef Mycielski. Ludwik Mycielski. Ks. radzca Mojzykiewicz. Ks. radzca Kazimierz Michalski. Dr. Leon Mieczkowski. Maksymilian Mniszewski. Bernard Milski. Franciszek Morawski. Hr. Maciej Mielżyński. Dr. Felicyan Niegolewski. Ks. Stanisław Okoniewski. Stanisław Offierski. Jan Paczkowski. M. Palacz. Książę Ferdynand Radziwiłł. Dr. Jan Stasiński. Dr. Roman Szymański. Ks. prałat Stychel. Jan Specht. Hr. Leon Skórzewski. Ks. prałat Stryjakowski. Ks. proboszcz Wagner. Ks. prałat dr. Warmiński. Kazimierz Wendland. Michał Więckowski. Ksiądz Kazimierz Zimmermann. Hr. Teodor Żółtowski. Hr. Stanisław Żółtowski.



Wskazujcie drogi!

Z każdym nieledwie dniem piętrzą się trudności w zdobywaniu stanowisk samodzielnych; coraz więcej zawad, przeszkód w gorączkowej gonitwie dla bytu, dla chleba.

Tak jest dziś mniej lub więcej w świecie całym, a najgorzej u nas, spętanych i ograniczonych w ciaśniejszej sferze usiłowań wrogą polityką pruską i hakatystycznym bojkotem. Mimo zabiegów ratunkowych, mimo pracy i oszczędności włościan naszych rosną te obszary niw ojczystych, z których pruski system wyklął egzystencyę i pracę polską; na niezliczonych posadach cywilnych i wojskowych w obrębie dzielnic Polakom zabranych, widać Niemców, przejętych w dodatku nienawistnym polskości duchem; rozzuchwalona życzliwością sfer wyższych polakożerczych zgraja szereguje się pod bezczelnem, nienawistnem hasłem wygłodzenia Polaków na ojczystej ich ziemi. Ztąd walka nasza o byt jest wyjątkowo trudną i mozolną.

Naturalnym wynikiem krytycznego położenia naszego jest, że się zwracamy na te pola pracy i zarobku, których ręka wraża nie zdołała nam jeszcze zamknąć antypolskiemi barykadami.

Twarda konieczność z jednej strony, z drugiej widok niezmiernych bogactw obcych narodów, bogactw zdobytych handlowo-przemysłową pracą — rozproszył stare przesądy i uprzedzenia do rękodzielniczej pracy, do industryjnej wytwórczości i łącznego z nią kupiectwa. Ale rozbudzeniu i roztrzeźwieniu pojęć ogólnych nie towarzyszyło i niestety nie towarzyszy dotąd należyte zrozumienie i rozpoznanie warunków, od jakich zdobycze nasze na zaniedbanych polach, przemysłowem i handlowem, zależą. Hasła i pobudki do nauki, pracy i usiłowań w zakresie przemysłu i handlu, brzmią u nas silnie i donośnie, w całej pełni odczuwamy ich słuszność, ale bezradni i zakłopotani pytamy, jakiemi dążyć drogami? Znać pod zdrowemi niewątpliwie hasłami ruch pewien, z roku na rok się wzmagający, ale bardzo słabo jeszcze uorganizowany, nieświadomy środków i sposobów, wiodących do celu i nie

wydobywający się jakoś z zaczarowanego koła dyletanckich ogólników.

Obrady w naszych towarzystwach przemysłowych, odczyty na posiedzeniach i zjazdach snują się po większej części albo wokoło tematu wychowania młodzieży rzemieślniczej w ogólnych cnotach, jak n. p. pracy i oszczędności, albo na temat przemysłowych i handlowych naszych potrzeb, albo w końcu na temat rozwoju rozmaitych gałęzi przemysłowych wśród innych społeczeństw, — rozwoju, z którym szerzy się dobrobyt i rośnie kapitał do nowych następnie wytwórczości zużywany.

Nie godzi się lekceważyć ani owych cnót, ani też informacyi o tem, co w przemyśle i handlu już mamy, a czego jeszcze nie mamy, ani wreszcie pouczających wiadomości o postępie przemysłowo-handlowym krajów i społeczeństw obcych. Wśród informacyi i objaśnień zrodzić się może i rodzi się zapewne myśl dobra i pożyteczna, a z myśli czyn, nieraz nawet przedsiębiorstwo dobre, przyczyniające ogółowi polskiemu dorobku. Chętnie więc uznajemy inicyatywę poczciwą, dążenie i poświęcenie tych obywateli, którzy tą drogą starają się przyczynić do podniesienia naszego ekonomicznego stanu.

Nie łudźmy się wszakże, iż dotychczasową organizacyą zdobędziemy poczesne w świecie stanowisko naszemu przemysłowi i handlowi, a siły nasze młode, garnące się do tych gałęzi pracy ludzkiej, uzbroimy skutecznie do współzawodniczej walki na arenie światowej.

Prawda, że nie gardzą siłami naszego robotnika, że opłacają je na obczyźnie lepiej niż u nas, ale gdziekolwiek spojrzeć w wielką dziedzinę wytwórczości przemysłowej i ruchu handlowego, nigdzie prawie oprócz owych sił mniej lub więcej surowych nie widać polskich pracowników lepszej kategoryi, odpowiadających swą inteligencyą i robotą wyższym wymaganiom.

Inaczej zupełnie z Niemcami. Nie tylko w ojczystym kraju, lecz na całej nieledwie kuli ziemskiej widać w fabrykach, w najróżniejszych przedsiębiorstwach industryjnych i handlowych mnóstwo dyrektorów, mistrzów i podmistrzków narodowości niemieckiej, widać ich na pewnych i donośnych stanowiskach, widać ich panami nad polskim robotnikiem na ojczystej nawet ziemi.

W Galicyi i Królestwie Polskiem roi się po prostu od tych władzców nad przedsiębiorstwami przemysłowemi lub poszczególnemi warsztatami, butnych i pewnych siebie, bo czujących dobrze swą niezbędność. Jeszcze bardziej zwycięsko wkracza niemiecki fachowiec, technik, mistrz, podmistrzek lub monter na terytoryum rosyjskie, zdobywając często, bardzo często, znaczne fortuny. Nie potrzeba się zapewne nad tem rozwodzić, że tak w Królestwie i Galicyi, jak w Rosyi chętnieby brano odpowiednio ukwalifikowanych rodaków naszych, ale niestety albo ich niema, albo też bardzo ich mało.

Szczupłe ramy niniejszego artykułu nie pozwalają nam też rozpisywać się obszerniej o tym fakcie, że ogromne zakłady fabryczne po większej części powstawały i nie rozrastały się dzięki inicyatywie i pomysłowości wielce wykształconych, egzaminowanych i patentowanych na wszystkie strony inżenierów, lecz właśnie dzięki zabiegliwości zdolnych majstrów fachowych, odpowiednio praktycznie przysposobionych. Nie chcemy też rozwodzić się nad tem, że w wielu, bardzo wielu zakładach przemysłowych dostatniejszy częstokroć znajdują byt skromni z pochodzenia i z nauki teoretycznej technicy, mistrze i podmistrze, niż początkujący w praktyce ludzie z uniwersyteckiem lub akademickiem wykształceniem.

Pragniemy natomiast choć w zwięzłych słowach wskazać na jeden wielki brak w naszych przemysłowo-handlowych dążeniach — **na brak odpowiedniej, uorganizowanej informacyi dla sił młodych, garnących się do powyższych, tak owocnych gałęzi ludzkiej pracy. Młodzież nasza błąka się w ogromnym labiryncie nowoczesnej industryi i handlu, nie wie zazwyczaj jaką drogą i dokąd idzie,** nieobeznana ani z środkami lub sposobami fachowego i praktycznego wykształcenia w takim lub owakim zakresie, ani też z szansami, jakie mieć będzie w świecie, gdy nabierze odpowiednich kwalifikacyi.

Wiemy, że o wiele łatwiej wygłosić odczyt lub błysnąć rozumem w dyskusyi na posiedzeniach towarzystw naszych „przemysłowych“ lub „handlowych“, niż zbierać mozolnie materyał informacyjny, kombinować i radzić dobrze, dokąd jednostki udawać się powinny, ażeby teoretycznie i praktycznie na dzielnych fachowców się wykształcić a następnie pracować albo w ojczyźnie, albo też w obcych krajach, jeśli na rodzinnej ziemi niema widoków pomyślnych.

Należałoby ku temu stworzyć, jako organ stale funkcyonujący, towarzystwo ludzi rozumnych, bystrych i światłych, obeznanych dobrze ze stosunkami choćby pewnej jakiej części, pewnej branży przemysłowej lub handlowej, tow., któreby specyalnie zasięgało dokładnych informacyi, gdzie i jakich sił przemysłowych, mogących w przewidzianym czasie dobrze spieniężać swą pracę, potrzeba, i to przedewszystkiem w obrębie dzielnic polskich wszystkich trzech zaborów a następnie w europejskiej Rosyi; na dalszym planie byłyby informacye odnoszące się do innych krajów. Towarzystwo takie mogłoby być w porozumieniu z różnymi organami przemysłowemi i handlowemi Galicyi, Królestwa i Rosyi, pośrednicząc niejako w udzielaniu wskazówek. Z drugiej strony towarzystwo takie miałoby za zadanie objaśniać jednostki i społeczeństwo, w jakich zakresach przemysłowych i handlowych potrzeba sił biegłych i gdzie siły nasze najlepiej, naj-

dzielniej kształcić się mogą. Może nie od razu towarzystwo takie zyskałoby należyte uznanie, ale to pewne, że już w krótkim stosunkowo czasie przyniosłoby nam pożytek, a niejedną młodą siłę ochroniłoby od rozczarowania i zniechęcania, ocaliłoby od błąkania się po nieznanych, mylnych manowcach i zwróciłoby ku powodzeniu i szczęściu.

Wskazujmy drogi!

Hermes.



Polakożercza bezczelność.

Zawrzało coś w polakożerczym obozie, gdy Ojciec św. Leon XIII serdecznemi słowy przemówił do polskich pielgrzymów. *„Serce nasze rwie się do całej Polski“* — te wyrazy kamieniem uwięzły w żołądkach pruskich, już i tak rozmaitemi „zdobyczami“ pysznej kultury przeładowanych. A jeszcze niestrawniejszemi dla rozwydrzonej rzeszy antypolskiej były owe wyrazy otuchy, jakie spłynęły z ust sędziwego Namiestnika Chrystusowego do serc naszych pątników tej treści, że męstwo, z jakiem bronimy naszych skarbów, jest milszem nad wszystko i najlepszą rokuje przyszłość.

Najbardziej zaś zawyły różnego rodzaju stworzenia w obozie polakożerczym na drogie sercu naszemu słowa szlachetnego Władzcy kościoła katolickiego:

„Z jaką jesteśmy dla was życzliwością i jak gorąco dla narodu polskiego pragniemy **lepszej** *i to* **trwałej doli** *— wy sami osądźcie...“*

Naturalnie, że zwykła bezczelność i pospolita nikczemność wylała się niebawem na antypolską bibułę obfitszym niż kiedykolwiek potokiem.

W słowach Ojca św. dostrzegli pismacy z prześladowczych warsztatów, że oto Głowa kościoła katolickiego jaknajwidoczniej *„podnieca nas, ażebyśmy się oderwali od państwa pruskiego“*.

Wobec tego faktu — tak szczują dalej owe pismaki — powinien poseł pruski w Rzymie zapytać się w urzędowym charakterze Ojca św., jakie znaczenie mają powyższe słowa, a nadto sprawę tę należałoby roztrząsnąć należycie w izbie panów. Szaleństwa antypolskie doprowadzają do takiej oto głupoty, która sama siebie (mimo niemożliwości) przewyższyć i prześcignąć usiłuje.

Namiestnik Chrystusowy, ten Władzca najpotężniejszy nie siłą zbrojną nikłą i nietrwałą, ale wieczystą siłą, co serca setek milionów do głębi porusza i niemi włada, ma się sprawiać ze znaczenia słów swoich przed posłem pruskim — bo tego żądają fabrykanci drukowanej głupoty pruskiej! Papież Leon XIII ma stanąć do rozprawy i wytłomaczyć się z uczuć zacnych, jakie ożywiają serce Jego ojcowskie. Wznoszący się ponad poziom ohydnych politycznych targów i intryg, ponad spodlone fałszem, kłamstwem i żądzą prześladowczą sfery „Władzca nad władzcami“ ma bodajnie się uniewinniać i usprawiedliwiać z tego, że serdecznie odczuwa niedolę Polaków, i że gorąco pragnie, ażeby Bóg dał pomyślniejszą przyszłość całemu narodowi polskiemu!

Taka zuchwałość i bezczelność polakożercza świadczy dobitnie o zupełnym rozkładzie władz umysłowych i moralnych we wrogich nam pruskich obozach.

Dla wyjaśnienia wszakże stanowiska, jakie kościół katolicki w obec nas zajmuje, godzi się przy tej sposobności zaznaczyć, iż żaden z papieżów nie uznał dotąd rozbioru Polski za słuszny i sprawiedliwy i że z mocarstw i państw, reprezentowanych na Kongresie Wiedeńskim, oprócz Turcyi nie uznało aktu rozbioru Polski państwo kościelne. Już więc z tego względu każdy Namiestnik w Stolicy Piotrowej ma wszelką logiczną racyą przemawiać nie tylko do *całego* narodu polskiego, lecz także do *całej* — mimo politycznego rozdarcia — *Polski*. Ale nadto Polska polityczna z przed czasów rozbiorowych była jedną jakby wielką prowincyą ogromnej hierarchii kościelnej i nie przestała być nią dotąd. A więc i ten wzgląd poważny uzasadnia w całej pełni serdeczny zwrot w mowie Zwierzchnika kościoła do *narodu polskiego*, jako *całości*, i do *całej też Polski.*

Łajdackim oczywiście wymysłem jest rozgłaszanie, jakoby Ojciec św. podniecał nas do oderwania się od państwa pruskiego. Podnietę taką znaleśćby można o wiele prędzej w prześladowczym systemie i wyjątkowych prawach antypolskich, niżli w wyrazach otuchy wypowiedzianych przez Głowę Kościoła. Ale wyrazy te, a osobliwie zwrot, że męstwo nasze w obronie własnej zachowane, najlepszą rokuje przyszłość — są może jasnowidzeniem proroczem świętego starca, którego świat „lumen de lumine“ (światłem światłości) nazywa. Tak, Ojciec św. czuje i wierzy, że przyszłość musi położyć kres krzywdom wielkim wyrządzonym i wyrządzanym naszemu narodowi i my wierzymy niewzruszenie, a że się przytem polakożercom trzęsie łajdackie nieczyste sumienie — to już niczyja wina, tylko ich własna.

Vester.



Pan Hammerstein.... nie zna Polaków.

Prusy dziwnych nieraz miewały ministrów, takich, którzy jedynie dziwactwami zapisali się w pamięci ludzkiej. Jeden z nich np. niejaki von *Rochow* — zdobył sobie „wiekopomną“ sławę jednem, króciutkiem zdaniem. Napisał oto w pewnym reskrypcie, że poddanym nie przystoi *„ograniczonym* swym wiernopoddańczym rozumem“ „krytykować czynności rządu.“ To zdanie o „ograniczonym rozumie“ poddanych rozbiegło się lotem błyskawicy po całej Europie i stało się przysłowiem, naturalnie w ironicznym sensie. O panu Rochowie

nikt dziś nic nie wie zresztą, nawet nazwisko jego poszło w zapomnienie, jedynie ten „genialny“ jego frazes przetrwał lata i dziś jeszcze rozbrzmiewa z tysięcy ust.

Byli jeszcze inni... ale pocóż ich wymieniać, pocóż sięgać do przeszłości. I dziś przecież nie braknie w Prusach ministrów, nad których czynami i słowami świat kręci głową — z zdziwienia.

Dla nas Polaków arcyciekawą postacią jest pan minister *Hammerstein.* Rządzi on sprawami wewnętrznemi dopiero od niedawna a już dał nam się poznać na wylot. U dyplomatów i mężów stanu rzadka to rzecz. Gdy się pisze coś o ministrach pruskich — będących jeszcze w urzędzie, trzeba się liczyć z słowami; jeźli się bowiem powie słówko za wiele — zaraz zjawia się prokurator, zaraz znika jeden z redaktorów „Pracy“ w „komórce.“ Sądzimy jednakże, że nie popełnimy żadnej zbrodni, gdy nazwiemy pana Hammersteina *ministrem bez żeny.* Z góry przytem zastrzegamy się, że nie mamy bynajmniej zamiaru uwłaczać czci pana ministra. Pragniemy ot tylko wypowiedzieć, jak się ten pan przedstawia naszemu „ograniczonemu rozumowi poddańczemu.“

Stwierdzamy tedy, żeśmy jeszcze takiego ministra w Berlinie nie widzieli. Inni — nawet takie „potęgi“ — jak stary Bismarck, chociaż także względem nas nie przebierali w środkach, jednakże zawsze jeszcze liczyli się ze *słowami*, z pozorami, z opinią świata. Pan Hammerstein śmieje się z takich względów.

Z niebywałą otwartością odsłania nam ot całą swoją „nagą duszę“ — jak mówią „moderniści.“ Chociaż zaś pan Bóg nie dał mu podobno krasomówczej swady, chętnie i dużo mówi — gdy o nas chodzi.

Czegośmy bo jeszcze z ust jego nie słyszeli? Mówił nam, że jesteśmy zdrajcami, rewolucyonistami z krwi i kości, ludźmi przewrotnymi, którzy jeno czyhają na upadek Prus, żeśmy sami zaprzepaścili Ojczyznę naszą, że nie zasługujemy na to, aby „mać“ pruska przycisnęła nas do swego serca itd. itd. Mówił dalej, że przecież radować się powinniśmy, iż nas Prusy podnieść chcą na „wyższy szczebel“ kultury (naturalnie pruskiej), że wdzięczni za to być powinniśmy. W ferworze swym nie przepuścił nawet naszym prababkom i ciężki podniósł przeciwko nim zarzut, jakiego nikt jeszcze w świecie nie ośmielił się wypowiedzieć. Teraz zaś w sejmie pruskim wyjawił nam otwarcie, jak się zapatruje na *prawa i ustawy,* — a w końcu oświadczył, że właściwie wcale nas niezna, *bo nas wcale nie ma na świecie... pruskim.*

Takich orzeczeń, takich wynurzeń z ust ministra nie można pomijać milczeniem; należy je koniecznie *uwiecznić*, aby wraz z ministrem samym nie poszły w zapomnienie. Przyjrzyjmy im się tedy bliżej a dobrze je zapamiętajmy.

O zapatrywaniach pana Hammersteina na prawa i ustawy piszemy na innem miejscu. Tu więc specyalnie zajmiemy się jego „nieznajomością Polaków.“

Że nas niezna — jakimi jesteśmy, że niezna naszej duszy, naszego serca, naszych uczuć, to chętnie wierzymy. Ale o to nie chodzi. Pan minister twierdzi oto, że niezna nas nawet jako *istót żyjących,* jako *ludzi*, jako *narodu*, jako *polskich* obywateli monarchii pruskiej.

Czyż to nie dziwne? Pomyślmy tylko. Ktoś, który nas zwalcza, który się nas obawia, któremu spać nie dajemy, który zagłębia się nawet w lekturę pamiętników, dotyczących naszej przeszłości, i z nich wysnuwa zarzuty, obrażające przodków naszych — nagle wcale *nas niezna.*

A powiedział przecież wyraźnie: Znam tylko *Prusaków* — ale nie *Polaków.* Czyż to nie godne takiej samej sławy, jak owo orzeczenie nieboszczyka Rochowa o „ograniczonym rozumie poddanych?“

Absolutnie wierzyć się nie chce, aby tak było, jak minister powiedział. W takim zaś razie wypada tylko mniemać, że nas znać *nie chce* jako Polaków, że pragnąłby nas gwałtem zamienić na *Prusaków.*

Hola! panie ministrze, tu się kończy władza pańska, tu kończy się już nietylko „ograniczony rozum poddanych“, ale nawet „rozum ministeryalny.“

Narodowość to święta i nietykalna własność każdego ludu. Rozporządzać nią więc może jedynie prawowity jej właściciel, a nie ktoś obcy. Zabierać jej nie ma władzy ani *prawa* nawet minister pruski. Chociaż tedy los pod pruskie wtłoczył nas berło, pozostaliśmy *Polakami* i pozostaniemy nimi tak długo, dopóki sami zechcemy. Że zaś nigdy się polskości naszej nie wyrzekniemy, przeto też Polakami pozostaniemy wiecznie.

Przynależność do jakiego obcego państwa bynajmniej jeszcze nie odbiera ludom narodowości. To przecie... minister pruski wiedzieć powinien. Po co tedy głosić rzeczy, które nie wytrzymują nawet krytyki „ograniczonego rozumu poddanych?“

Po co łudzić siebie i innych panie ministrze?

My wiemy, że będziemy, gdy pana Hammersteina już nie będzie, że przetrwamy nietylko jego rządy, *lecz także wszystkich następców jego.* Ale pan *Hammerstein* może tego wiedzieć nie chce. Pocieszmy go tedy! Przysłużymy mu się tem bardzo, bo w przeciwnym razie pozostanie po nim tylko takie wspomnienie, że na początku XX wieku był minister pruski który nawet... *„nie znał Polaków!!“*

A temu późniejsze pokolenia tak samo by się „dziwiły“, jak się „dziwią“ owemu orzeczeniu Rochowa o „ograniczonym rozumie poddanych.“

Nie wyrządzajmy więc tej krzywdy — panu Hammersteinowi!

Poznańczyk.



Do naszych „serdecznych."

Jakby nienawistnych czynów waszych echo rozchodzi się wśród polskiego narodu głos:

„Nie wierzymy wam, nie ufamy wam, nienawidzimy was!" A przedewszystkiem: nie ufamy wam, nie ufamy wam, bo dawno straciliśmy wiarę w *szlachetność* waszą, bo wszelkie nadzieje w szlachetności waszej pokładane pierzchły wśród szaleństw waszej nienawiści ku nam, bo zamiast pragnień i dążeń ludzkich znaleźliśmy w was żądze prześladowania i zachłanności, bo zamiast chleba radzibyście dawać nam kamienie. A przecież chleb wy nam *winni* jesteście, bo odebraliście go nam przed laty...

Żądaliśmy i spodziewaliśmy się tylko sprawiedliwości, lecz zawiedliśmy się sromotnie. Nie spodziewaliśmy się niczego więcej, ani łaski, bo tę odtrącilibyśmy ze wzgardą, ani uczuć wzniosłych, ani dobroci, ani miłości, bo uczucia te nie rodzą się tam, gdzie „racya stanu" urąga chrześcijańskim zasadom i głuszy sumienie.

Nie ufamy wam! Jak daleko władza wasza sięga, słychać zawsze jeden i ten sam wasz głos: „Caeterum censeo Poloniam esse delendam! Precz z Polakami!" To waszem hasłem. Hasło to zmusza was do pomijania nawet zasad zdrowego rozsądku, byle mu się tylko nie sprzeniewierzyć, hasło to usta wam otwiera w izbach sejmowych, rękę waszą prowadzi przy kreśleniu nowych przeciw nam ukazów.

Nie ufamy wam! Przedstawiciele wasi oklaskują z zapałem zjadliwe zgrzyty ministrów i kolegów parlamentarnych, zawsze, na skinienie wyższych, siłą głosów swoich kują nową na nas broń, nowe budują twierdze dla zwalczenia naszego języka, ducha, bytu narodowego. Nie ufamy wam, bo wiemy, że, gdyby wydano rozkaz haniebny: Wystrzelać, wyrznąć, spalić ich! — tłumy całe z pośród was ruszyłyby z szatańską radością, a grzmotem oklasków zgłuszyłyby huk strzałów i konających jęki!

Nie ufamy wam w niczem, nie spodziewamy się od was niczego szlachetnego. Ale przecież jedna jest rzecz, której nawet wam znieważać nie wolno, jedna gwiazda, której najzuchwalsza ręka zgasić nie zdoła, jeden skarb, którego bezkarnie naruszać nie wolno narodom najnikczemniejszym. Skarb to kosztowny, z kopalni wieków wydobyty dłonią kultury wszechludzkiej, skarb ten — to *sprawiedliwość sądów.*

Wszechsłyszące ucho prokuratora nie pozwala nam na krytykowanie wyroków, na ocenianie sprawiedliwości pruskiej, nieomal nie wolno wypowiedzieć, czy mamy jakiekolwiek do niej zaufanie, lub nie. Ale jedno wolno nam wypowiedzieć i stwierdzić, że dzieją się w Prusach rzeczy, które powagę sądów zupełnie podkopać gotowe.

Główną podstawą sprawiedliwości i przedmiotowości bowiem powinna być zupełna *niezależność* sądów od wszelkich politycznych lub zwierzchniczych wpływów, od stronniczych programów, przekonań i walk. A niezależność ta w niebezpieczeństwie! Pruski najwyższy sąd administracyjny jak wiadomo, orzekł wyrokiem, iż rozwiązywać zebranie dlatego, że obraduje się po polsku, jest bezprawnem. Ten wyrok bezstronny, snadź zawadza pewnym sferom, zawadza ministrom pruskim.

Z żalem i ubolewaniem skarżą się na niego. Minister pruski Hammerstein przy sposobności omawiania w sejmie pruskim interpelacyi posła Faltina co do rozwiązania zebrania polskiego towarzystwa w Rybniku na Górnym Slązku powiedział dosłownie: „*Najwyższy sąd administracyjny sparaliżował policyą, nad czem ubolewam.*" Dla wielu niestety dygnitarzy w Prusiech ideałem jest pikelhauba, wiemy, że niejeden przed nią jedynie — zwłaszcza gdy chodzi o polską skórę — czoło chyli i korzy się przed nią, że zamiast czarnej togi wolałby widzieć lśniące pikelhauby na trybunie sądowej; nie zastanawialibyśmy się jednakże nad tem, gdyby w tem nie leżał moment urągający wymaganiom państwa konstytucyjnego. Wprost zastraszająco brzmi, gdy p. Hammerstein jako minister „ubolewa" nad wyrokiem, gdy ma odwagę mówić innemi słowy, że *pragnąłby wyroku innego.* Czyż te słowa nie mogą *wywrzeć wpływu* na dalsze czynności sądu administracyjnego? Czyż to nie jakby pośrednie dawanie wskazówek dla dalszego zachowania się tegoż areopagu „sprawiedliwości?" A jeżeli p. Hammerstein dalej głosi, że ów wyrok dla nas korzystny — to wyrok *jednorazowy*, że jutro sąd administracyjny na naszą niekorzyść inaczej rozstrzygnąć może, jeżeli dalej p. H. sądowi owemu zaleca, by pod uwagę wziął moment, czy nie zachodzi może „dolus" (zła wola) po stronie Polaków, „że *mimo znajomości języka niemieckiego jednak po polsku mówią,*" jeżeli p. H. ewentualnie z tego właśnie punktu widzenia spodziewa się wyroku *innego* — cóż to jest? To jest lekceważenie poważnych wyroków, to jest jakby *wpływanie na sąd*, to jest bezprzykładne, sprzeczne z konstytucyą, z kulturą najelementarniejszą.

Pan Hammerstein, minister pruski, *reprezentant rządu*, podsuwa *sądowi* wybiegi, na podstawie których mógłby... dojść do innych rezultatów! *Czyż nie jest to wpływaniem na przyszłe wyroki?* — Pan H. naturalnie z oburzeniem odparłby ten zarzut. Ale to nie zmienia niczego. Obojętnem bowiem jest, czy *chciał*, czy *chce* wpływać, nam wystarcza i oburza nas ten fakt, że takie oto *ministeryalne* oświadczenie wpływ ujemny wywrzeć może, — ten fakt, że słowa jego, słowa wysokiego urzędnika pruskiego, nie mogą być obojętnemi dla członków sądu administracyjnego.

My to tak rozumiemy i odczuwamy. Tak odczuwali i rozumieli to też w izbie przywódzcy polakożerców pp. Limburg — Stirum i Zedlitz, skoro zapewniali rząd, że w razie, *gdyby jednak przyszły wyrok najwyższego sądu administracyjnego nie wypadł według interesu rządowego*, wówczas zgodzą się chętnie na *nowe* prawoda-

wcze środki ku zwalczeniu polonizmu.

Pragnąc mieć szacunek dla organów sądowych, będziemy zawsze protestowali *przeciwko wszelkiemu niszczeniu niezawisłości ich wyroków, przeciwko niweczeniu ich przedmiotowości i sprawiedliwości iliekroćby się zdarzyć miało.*

Biada państwom i ich ludom, gdzie takie głosy protestu są wołaniem na puszczy! *Ordon.*



„Trucizna“ p. Studta.

W każdej niemal mowie swej, traktującej o sprawach polskich, skarży się pan Studt, tegoczesny pruski minister oświaty, na *zatruwanie* ludu i dziatwy polskiej „ideami wielkopolskiemi.“ Gdy lud śląski dopomina się o narodowe swe prawa, to zdaniem pana Studta najlepszy dowód, jak dalece już „zatruli“ duszę jego wielkopolscy agitatorowie; opór dzieci polskich przeciwko niemieckiej nauce religii to również „posiew trucizny polskiej“, słowem, gdyby nie ta „trucizna polska“ — lud polski wcale by się nie sprzeciwiał germanizacyi. I w mowie wypowiedzianej w dniu 7-go b. m. w Izbie panów, w odpowiedzi na wywody księcia *Radziwiłła*, krytykujące ostro obecny pruski system szkólny w dzielnicach polskich, nie brakło tego „truciźnianego“ frazesu. Pan minister powiedział w mowie tej mniejwięcej co następuje:

„I dziś wyrazić tylko mogę ubolewanie, że agitacya polska rozciąga się na wszystkie koła ludności, nawet na uczniów szkół ludowych i studyującą młodzież. Takie zaś oddziaływanie zwłaszcza na młodzież jest *grzechem najcięższego* rodzaju. Na razie istnieje jeszcze fundusz wrzesiński, który służy celom politycznym (??), i to w tym kierunku, aby przygotować sprawę polską na wielki dzień pomsty i oderwania dzielnic polskich od Prus. W komitecie, zarządzającym tym funduszem zasiadają niestety (!) także osobistości bardzo wpływowe. Oby ci panowie porzucili nareszcie usiłowania, które mają jedynie krzewić w sercach młodzieży *truciznę opozycyi* przeciwko wszystkiemu, co niemieckie“.

A więc krzewienie takiej opozycyi, to znów, zdaniem pana Studta to samo, co *posiew trucizny*...

Rzeczywiście trudno uwierzyć, że coś podobnego mógł wypowiedzieć człowiek z wyższem wykształceniem, do tego mąż stanu, który przecież powinien znać prawa ludów i przyrodzone im uczucia. A jednak istotnie tak jest — pan Studt powtarza to przy każdej sposobności.

Milczeniem zbyć tego nie można — a jednak trudno dać na to odpowiedź taką, jaka gwałtem ciśnie się pod pióro. Zarazby bowiem dopatrzono się w niej obrazy pana ministra...

Mniejsza już o to, że ostatnia ta mowa zawiera dużo nieprawdy np. co do celów funduszu wrzesińskiego — bo wiemy jakie to „berychty“ wiarogodne otrzymują panowie ministrowie, mniejsza o to, że ten frazes ministeryalny, zawiera ciężką obrazę narodu polskiego; z tem się już pogodziliśmy. Ministrowie pruscy na tym punkcie nie krępują się skrupułami. Więc też już o to upominać się nie będziemy. Natomiast przyjmujemy jako fakt, że pan minister rzeczywiście nie rozumie, jak ten frazes jego grzeszy nietylko przeciwko prawom przyrodzonym każdego narodu, ale także przeciwko najprostszej *logice*, i co do tego postaramy się go pouczyć.

Jakże tedy przedstawia się w rzeczywistości ta *polska „trucizna?“*

Są to jednem słowem *usiłowania nasze, mające na celu utrzymanie naszej narodowości, naszego języka, danego nam przez Boga*, Prusacy *nie mają prawa odbierać nam narodowości i języka*, a jednak czynią to w bardzo natarczywy sposób. Bo czemże jest owo wykluczenie języka polskiego ze szkół, z urzędów, z zebrań publicznych, jeżeli nie oczywistym zamachem na jego istnienie? Sami zresztą dygnitarze pruscy przyznają, że zmierzają do zupełnego zgermanizowania dzielnic polskich.

O ile zaś Prusacy nie mają prawa godzić w te najświętsze skarby nasze, *o tyle my mamy zupełne prawo bronić ich posiadania.* A prawo takie ma nietylko cały naród, *lecz także każda jego jednostka.* Jak zaś wykonujemy to prawo? Oto nawołujemy się wzajemnie: kochajmy nad życie nasz język, naszą narodowość, kochajmy przeszłość naszą i wszystko, co się z nią wiąże, pracujmy nad tem, aby narodowość nasza nietylko nie ponosiła szwanku, lecz by rozwijała się jaknajpiękniej, byśmy po wszystkie czasy pozostali tem, czem nas Pan Bóg stworzył: narodem, narodem odrębnym, *narodem polskim.*

Chłop polski, który broni dzieci swych przed zniemczeniem, który domaga się, aby mu było wolno przed sądem zeznawać po polsku, polski Ślązak, który, ocknąwszy się z wiekowego letargu woła głośno: „Polakiem jestem i póki tchu w piersiach Polakiem pozostać pragnę“, rzekomy „agitator“, który go w tem postanowieniu utrwala i wzmacnia i owo dziecko, które chociaż tylko prawd wiary świętej chce się uczyć w języku polskim — wszyscy oni wykonują jedynie najświętsze prawo, jakie dał Bóg każdemu człowiekowi, *prawo bronienia narodowości, od Niego otrzymanej.*

Prawo to uznaje Kościół, uznaje religia chrześcijańska wogóle, uznaje nauka, uznaje każdy naród odnośnie do siebie, jedynie pan Studt i koledzy jego w rządzie nam prawa tego odmawiają, a wykonywanie jego nazywają — *posiewem trucizny!!*

Gdzie tu sens, gdzie logika?

Najkapitalniejsze to, że pan Studt podnosi taki zarzut przeciwko rzekomym „agitatorom polskim,“ *a sam jest takim agitatorem — naturalnie niemieckim, sam — ażeby użyć słów jego, — sieje taką „truciznę“ „najgorszego rodzaju.“*

Bo oto co czyni? Całemu wychowaniu w Prusach stara się nadać narodowo-niemiecki kierunek, stara się wpoić w dziatwę niemiecką najwyższy patryotyzm, — a jako członek rady związkowej (zapewne nim jest) — przemawia gorąco za ponownem zniemczeniem dziatwy *alzackiej* i *lotaryngskiej!*

Tymczasem — zdaniem jego — właśnie ta ostatnia czynność jest „posiewem trucizny.“

Ludność alzacka i lotaryngska bowiem — chociaż pochodzenia niemieckiego, przybrała język i narodowość francuzką. Jeżeli tedy Polak z Księztwa zdaniem pana Studta popełnia „grzech“, napominając Górnoślązaków, aby pozostali Polakami, to taki sam grzech popełnia pan Studt względem Alzatczyków! I to grzech tem większy, ponieważ ci przyjęli *dobrowolnie* obcą narodowość, Górnoślązacy zaś nigdy tego nie uczynili, lecz po dziś dzień pozostali Polakami, a jeno *świadomość łączności* z Ojczyzną i narodem swym była w nich na chwilę *uśpioną.*

I takiej to prawdy — pan Studt, minister oświaty, zdaje się nie pojmować, nie rozumieć. Czyżby brakło mu do tego *dobrej woli?* Czy może istotnie *jasnego zrozumienia?* A zatem racz więc pamiętać, panie Studt: krzewienie poczucia narodowego w społeczeństwie polskiem nie jest „posiewem trucizny“, lecz tylko wykonywaniem *prawa*, które Bóg dał *każdemu* Polakowi, prawa, którego rządowi pruskiemu Polakom odmawiać *nie wolno*, jeżeli rzeczywiście uznaje jeszcze *władzę Boga nad światem!*

Czyżby jej nie miał uznawać? Po częstem powtarzaniu owego „truciznianego frazesu“ — niemal przypuszczać by to można.

Nie! nie! Panie Studt, nie masz pan racyi — ani nawet logika nie jest po pańskiej stronie. Los — zresztą w życiu narodów jak i jednostek bardzo zmienny, — przyłączył wprawdzie kilka milionów

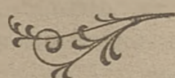
Polaków do państwa pruskiego. *Siła* wasza *fizyczna* i *materyalna* większa od naszej, daje wam pewne prawo — naturalnie *światowe*, ale nie boskie — żądać od nas daniny z naszych środków materyalnych, a nawet z krwi naszej dla *waszych* celów. Ale do *duszy* naszej, do naszej *duszy narodowej* prawa nie macie i nigdy go nie nabędziecie, do duszy naszej ma prawo jedynie *Bóg* a potem nasz naród.

Nie ma pan więc także prawa nazywać krzewienia uczuć narodowych w ludzie polskim, w dziatwie polskiej — *posiewem trucizny*. To jest nietylko ciężka obraza naszych uczuć, ale także *woli Bożej*, a przytem sprzeciwia się prawdzie. Kto bowiem krzewi poczucie narodowe, ten daje narodowi nie truciznę, lecz *nektar boski*, nektar *nieśmiertelności narodowej!*

Czy tak nie jest — panie Studt? Odpowiedz pan na to z ręką na sercu, nie jako minister pruski, lecz jako człowiek, przecież także i przywiązany do własnej narodowości. Prosimy o to!

Dajemy wam wszystko, co dać możemy, co wam dawać nakazuje smutny nasz los, nasza religia. Tylko polskiej naszej *duszy narodowej wam nie damy, bo tej dać nam nie wolno.*

Chociażbyście tedy dalej jeszcze nazywali to posiewem *trucizny* — my nawzajem krzepić się będziemy dalej *nektarem nieśmiertelności narodowej*, którym jest silne poczucie narodowe, nadal wpajać je będziemy w *każdą jednostkę*, w *każde dziecko polskie*. My tej nieśmiertelności wydrzeć sobie nie pozwolimy, chociażby ona *dla was* naprawdę stać się miała *trucizną!* *Verus.*



Pomyślne i niepomyślne objawy.

Zaledwie odłożyliśmy z rąk Sprawozdania *Banku ziemskiego i Banku spółek zarobk.*, nadesłano nam sprawozdanie z ostatniego roku *Banku włościańskiego* w Poznaniu. Przyznamy się otwarcie, że jedno i drugie z szczerą przejrzeliśmy satysfakcyą. Bank Ziemski stoi zawsze jeszcze na wysokości zadania i z małym kapitałem dużo działa; co najważniejsze zaś, nie traktuje zadania swego z czysto idealnego punktu widzenia, lecz bardzo praktycznie. Wygospodarował tedy jak zwykle nietylko normalną dywidendę, ale także spore kwoty dla rezerwy i funduszu emerytalnego. „*Bank Włościański*“ zaś, jakkolwiek zupełnie mija się dziś z celem, dla jakiego założony został, i stał się instytucyą przeważnie spekulacyjno-kredytową, wykazuje również rezultaty tak dodatnie, że uważać go trzeba za jednę z najporządniejszych i najpewniejszych instytucyi bankowych w Polsce.

Satysfakcyą, o jakiej wspomnieliśmy na wstępie, sprawiają nam atoli nietylko bezpośrednio dobre rezultaty obu banków, ale także, i to nawet przedewszystkiem, dobra, sprężysta i *ściśle fachowa* administracya, która je wydała, tem bardziej, że nie jest ona już objawem *oderwanym*, wyjątkowym u nas, lecz zaczyna być *regułą*. Mamy oto banków i podobnych instytucyi zarobkowo-finansowych w zaborze pruskim dużo, a wszystkie prawie prowadzone są *rozumnie, trzeźwo i uczciwie*. Już na sejmiku Spółek naszych w Toruniu, przed dwoma laty, Patron ich, niestrudzony Ks. Prałat *Wawrzyniak*, mógł stwierdzić, że materyał ludzki, jakim Spółki te dysponują, w swych zarządach ulepsza się z każdym rokiem, a i dziś już zasługuje na zupełne uznanie i zaufanie. Że zaś w słowach tych nie było przesady, o tem przekonują nas wszystkie sprawozdania naszych Banków i Spółek. Wynika z tego jasno jak na dłoni, że w gospodarce finansowej, w zawiadowaniu społecznemi kapitałami postąpiliśmy olbrzymi krok naprzód. Społeczeństwo nasze wyzwoliło się z dawnej lekkomyślności, nieopatrzności i niezdolności do kalkulacyi kupieckich i coraz więcej zaczyna przyswajać sobie zdolności i nabiera zmysłu ekonomicznego. Wynika z tego dalej, że czasy, w których nic nam się nie udawało na tem polu, a wszystko kończyło się katastrofami, jak np. „Tellusa“, lub przesileniami, jakie przechodził Bank przemysłowców w Poznaniu, należą już do przeszłości. Jest to objaw *ogromnie pocieszający*, tem bardziej, iż przypada w chwilę, w której Niemcy, przewyższający nas dawniej pod tym względem ogromnie, zatracają jakoś w sobie pod wpływem nadmiernego powodzenia, te zalety, któremi nas dawniej głównie bili. Dałby Bóg, aby ten pomyślny objaw nie był przemijającym, lecz okazał się trwałym i stałym, aby dążność do udoskonalenia się pod tym względem rozwijała się coraz pomyślniej.

Dziś, dzięki Bogu, posiadamy już nietylko mnóstwo ochotników, *dyletantów* finansowych w zarządach Spółek pomniejszych, spełniających obowiązki swe wzorowo, ale nadto wytworzyliśmy już sobie spory zastęp *finansistów z zawodu, fachowców*, którym bez trwogi powierzyć można największe nawet kapitały do odpowiedniego obrotu.

Smutna atoli rzecz, że ten pomyślny objaw wiąże się ściśle, z mniej pomyślnym, a nawet wprost *niepomyślnym*. Spodziewać by się należało, że ta dobra gospodarka w bankach naszych zwróci ku nim zaufanie *całego* ogółu, że skupi w naszych instytucyach finansowo-zarobkowych *wszelkie nasze kapitały* ruchome, dla dobra handlu, przemysłu i rolnictwa. A nadzieja ta spełniła się zaledwie tylko do połowy. Zaufanie do naszych instytucyi finansowych ogarnęło dotychchczas tylko *średnie i niższe warstwy społeczeństwa naszego*, które chętnie deponują w nich swe oszczędności. Natomiast *wyższe* sfery pozostały po dziś dzień zupełnie *biernemi* i nie okazują jakoś ufności do tych instytucyi, pomijając je zupełnie przy lokowaniu kapitałów.

Sfery te, coprawda opłaciły pierwociny naszych dążności w dziedzinie gospodarki finansowej dotkliwemi ofiarami i stratami, na nich to w pierwszym rzędzie zemścił się nierząd dawniejszy. Nieufność ich i bierność jest więc poniekąd zrozumiałą. Uniewinnić jej jednakże nie można. Nie powinny ot sfery te zamykać oczu na ogromny postęp, jaki się u nas dokonał i bezustannie dokonuje, na rezultaty, dające niemal pewność, że o podobnych fatalnych wypadkach, jak te, któremi się sfery owe zraziły, dzisiaj już i mowy być nie może. Liczne zaś upadłości ogromnych instytucyi finansowych niemieckich, jak „Preussische Hypothekenaktienbank“, Deutsche Grundschuldbank“, „Leipziger Bank“, „Trebertrocknengesellschaft“ i dziesiątki innych są chyba surową przestrogą, ażebyśmy wyleczyli się z zaślepienia, nie wierzyli obcym instytucyom finansowym bardziej niźli naszym i nie łudzili się, że kapitały zamożniejszych obywateli na obczyźnie najlepiej i najpewniej są umieszczone.

A kapitały to wszakże *wielkie* jeszcze, przewyższające znacznie wszelkie nasze *drobne* oszczędności. W chwili, gdy najbardziej ich potrzebujemy, gdy bojkot niemiecki zagraża naszemu handlowi i przemysłowi, gdy wypieranie nas z wszelkich stanowisk rządowych zmusza wprost do wytwarzania coraz *nowych* źródeł zarobkowych i gdy rząd na wykupienie ziemi polskiej nowe rzuca miliony, w takiej chwili miliony kapitału polskiego, zamiast służyć ogółowi i naszej sprawie, spoczywają bezczynnie niemal w bankach zagranicznych lub niemieckich i wzmacniają częściowo nawet naszych wrogów.

„Bank ziemski“ np. potrzebuje więcej kapitału akcyjnego, w Królestwie już też rozpoczęto w tym kierunku agitacyą, tylko u nas jakoś nikt się nie kwapi z zasileniem tej instytucyi.

To objaw smutny i szkodliwy. Społeczeństwo, które pozbywa się grzechów dawnych i całą siłą dąży do *rzetelnego* ekonomicznego rozwoju, może mieć słu-

szny żal do tych, którzy, mogąc to uczynić, nie popierają jego zdrowych usiłowań. *Alf.*



Z TYGODNIA.

Tydzień świąteczny nie przyniósł nam ważniejszych zdarzeń w polityce. Na ogół biorąc — panował w świecie względny spokój, a w prasie wszystkich języków ponad sprawami politycznemi górowało i w tym tygodniu jeszcze straszne nieszczęście na wyspach antylskich.

Najważniejszym jeszcze wypadkiem chwili była i jest zmiana na tronie *hiszpańskim.* Syn zmarłego w roku 1886 *Alfonsa XII*, także Alfons XIII z rzędu, ukończył w tym tygodniu 16-ty rok życia i według praw krajowych stał się pełnoletnim. Rozpoczęły się tedy w Madrycie wspaniałe uroczystości, jakie towarzyszą tam zwykle koronacyi i wstąpieniu na tron nowego monarchy. Na uroczystości te przybyli reprezentanci wszystkich rodzin panujących i rządów Europy. Przepych, jaki przy tej sposobności rozwinięty zostanie, odurzy znów bujną wyobraźnię Hiszpanów, i może łudzić się będą, że koronacya nowego ich monarchy to fakt jeszcze tak samo ważny w polityce Europy, jak przed wiekami. Smutne to złudzenie. Minęły czasy, kiedy w państwie króla hiszpańskiego nie zachodziło słońce, gdyż obejmowało olbrzymie kraje na obu półkulach. Wiek XIX obszedł się z Hiszpanią wręcz bezlitośnie. Straciła ot wszystkie posiadłości zamorskie, poniosła straszne klęski w kilku wojnach, a nadto wnętrze jej szarpały bezustannie rewolucye i walki o tron. Z dawnej potęgi i sił pozostał zaledwie cień. A te straty i klęski tak przygnębiły ducha narodu, że popadł w rodzaj odrętwienia, z którego bodaj, czy się o własnej sile wyrwać zdoła. Dziś panują w tem państwie, którego władzcy niegdyś dyktowali prawa całemu niemal światu, stosunki wręcz okropne. Ostatnia przegrana wojna z Ameryką północną oraz niesumienna administracya wewnętrzna pogrążyły kraj cały w wielkiej biedzie i nędzy, przytłumiły wszelką inicyatywę w dziedzinie ekonomicznej, a następstwem tego było wytworzenie się silnego ruchu socyalistycznego, który niekiedy przybiera wprost charakter anarchizmu, oraz w północno-wschodnich prowincyach, stosunkowo najzamożniejszych, dążności separatystyczne, to jest, zmierzające do oderwania się od reszty państwa. Ostatnie rozruchy w tych dzielnicach zdołano przytłumić jedynie nadzwyczajnem rozwinięciem siły wojskowej. Na nieszczęście zaś z obecnych mężów stanu, rządzących w Hiszpanii nikt jakoś nie zdradza zdolności odpowiednich do wydobycia kraju z tej strasznej wprost niedoli.

Nowego monarchę, w którego imieniu przez lat 16 rządziła matka z domu Habsburgów, kobieta czysta i szlachetna, czeka więc trudne zadanie.

Zaraz też w pierwszym dniu panowania swego doznał całej grozy położenia monarchy państwa podminowanego



Król hiszpański Alfons XIII.

dążnościami przewrotu. Gdy oto wraz z matką jechał do gmachu Kortezów, aby złożyć przysięgę na konstytucyą, zbrodniarz jakiś strzelił do niego z rewolweru. Kula chybiła na szczęście, zbrodniarza aresztowano, jakże boleśnie atoli zapisać się musiał dzień ten uroczysty w sercu młodego monarchy! On, który nikomu jeszcze najmniejszej nie wyrządził krzywdy, który rozpoczyna dopiero życie, już stał się celem zamachu, już zajrzał w oczy śmierci, jaka groziła mu z ręki własnego poddanego.

Straszna to wprost tragedya. A tu ani wątpić nie można, że nieraz jeszcze czekać go będzie to samo i życzyć tylko wypada, aby jak tym razem kule omijały osobę jego.

Na razie będzie tylko figurantem w ręku swych ministrów. Czy zaś, gdy dojdzie do lat męzkich, a monarchowie zwykle rychło dojrzewają, zdoła własną inicyatywą i energią zażegnać grożący państwu swemu zupełny upadek, któż to przewidzieć może? My, którzy również przecierpieliśmy aż nadto, którzy znamy dobrze co to znaczy rozpamiętywać o dawnej chwale w nieszczęściu, życzymy jaknajlepiej nietylko nowemu władzcy, ale i całej jego ojczyźnie!

Prezydent *Francyi* - mimo nieszczęścia na wyspie *Martynice*, mimo bezprzykładnego oszustwa, jakie popełniła we *Francyi* niejaka pani Humbert, a które w bardzo niepochlebnem świetle przedstawiło nam znów sądy francuskie i wielu wpływowych mężów stanu,*) przybył w dobrym humorze do Petersburga i doznał tam bardzo uroczystego przyjęcia. Wiadomość kilku gazet, jakoby w powrocie ztamtąd zamierzał przepłynąć kanał niemiecki w Holsztynie i przy tej sposobności spotkać się z cesarzem *Wilhelmem*, okazała się nieprawdziwą. Stosunki między Niemcami a Francyą bardzo się poprawiły, czy jednakże spotkanie takie przypadłoby do gustu Francuzom, o tem na razie jeszcze wątpić można.

W Szwecyi toczy się obecnie także walka o powszechne równe prawo głosowania do ciał prawodawczych. Przekonujemy się oto, że prąd, dążący do zapewnienia ludowi większego wpływu na losy państwa ogarnia już i narody chłodne z natury a nie mające nawet powodu do uskarzania się na swój los.

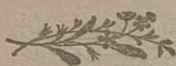
Pewną sensacyą w świecie politycznym wywołał ... dar cesarza *Wilhelma* dla Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Cesarz doniósł prezydentowi Stanów, że na utrwalenie pamięci wizyty brata swego w Ameryce przyśle pomnik króla Fryderyka II i prosi, aby ustawiono go na jednym z placów publicznych stolicy Waszyngtonu. Prezydent odpowiedział grzecznie, że dar ten przyjmuje z podziękowaniem, decyzyą musi jednakże pozostawić kongresowi. Jak przyjmie pomnik ten *publiczność* amerykańska, trudno przewidzieć. Jeżli ustawią go rzeczywiście na publicznym placu, to będzie to przełamaniem zasady republikańskiej, która zabrania obywatelom oddawać hołd monarchom.

W polityce wewnętrznej *Prus* nic nie zaszło nowego. Prasa hakatystyczna kłóci się jedynie o to, czy nowy projekt antypolski i żądający nowych setek milionów na naszą zgubę, przyjdzie pod obrady w bieżącej, czy też dopiero w następnej przyszłorocznej sesyi? Może gdy numer ten dojdzie do rąk czy-

*) Patrz artykuł na stronie 569-ej p. t. „Oszustwo na 40 milionów“ — Przyp Redakcyi.

telników, już wiedzieć będziemy, jak się stanie.*) Cokolwiek się atoli stanie, nas znaleźć powinno na wyłomie, a zwłaszcza *posłów naszych w Berlinie.*

K. O.



PRZEGLĄD PRASY.

Występ p. J. Kościelskiego w parlamencie i osłona, jaką znalazł w „Dzien. Poznańskim“ w ciągu ostatniego tygodnia jeszcze była przedmiotem żywej dyskusyi nie tylko w gazetach, lecz także po za dziennikarską sferą. Jednym z objawów zdrowej opinii, która osądziła w sposób ujemny cały ten niezgodny z poczuciem narodowym popis jest nadesłana do **„Kuryera Poznańskiego“** korespondencya, z której przytaczamy końcowy ustęp:

„Więc mówi się mowę arcyugodową, stwierdzoną stenogramem przystępnym dla wszystkich, a potem gdy kto śmie protestować, twierdzi w oczy wszystkim „Dziennik“, *że nie ma ugodowości.* „Dziennik“ robi reklamę p. Kościelskiemu, a p. Kościelski „Dziennikowi.“ Czyż doprawdy nie znajdzie się nikt z pośród właścicieli „Dziennika“, któryby przeciw takiej gospodarce zaprotestował?

„A baczmy na to, że tu nie chodzi bynajmniej o poszczególny jeden objaw. Pamiętam, jak przeszłej wiosny kursowały po mieście pogłoski, że przeciw „Kuryerowi“ ma być założone z inicyatywy polskiej i niemieckiej nowe pismo. Spełzło to wówczas dzięki Bogu na niczem, ale było jednak znakiem prądów nurtujących.

„Mam głębokie przeświadczenie, że gdyby teraz stanowczo prasa polska nie była wystąpiła przeciw ugodzie czy też assymilacyi, czy jak tam „Dziennik“ i p. Kościelski nazywają swoją politykę, *byłyby się w najkrótszym czasie znowu zszeregowały w koło nich nieliczne, ale czynne jeszcze zastępy dawniejszych polityków ugody.*

„Poprzedzające mowę p. Kościelskiego, rozmaite występy „Dziennika“, dalej mowa sama, były tylko *pierwszem ogniwem w na nowo kutym łańcuchu ugody*, którego dalsze ogniwa miały być kute na jesień.

„Teraz jednym zamachem rzecz przecięta, rozbita, unicestwiona i ztąd ten gniew ogromny, ta nienawiść wybuchająca w słowach wcale nie licujących ze stanowiskiem ludzi wykształconych, walczących o sprawę polityczną. Ztąd owe podsuwanie motywów egoistycznych przeciwnikom choć doprawdy tym ostatnim właśnie łatwem było użycie tego argumentu, czego, jak też słusznie, nie uczynili, i nie sprowadzili dyskusyi przynajmniej ze swej strony na równie niski poziom, jak to uczynili panowie z obozu assymilacyjnego. Ale, nie łudzimy się, że to koniec sprawy. Walka tylko chwilowo zakończona.“

Swoją drogą niema złego, coby na dobre nie wyszło. Ta nowa „próbka ugodowa“ wyjaśniła sytuacyą i wykazała, że u nas nie ma już pola ani dla ugody, ani dla polityki „asymilacyi“. Słusznie ot pisze **„Goniec Wielkopolski“**:

„*Idea asymilacyi państwowej* — **bez** *względu na to, czy asymilacyi z Prusami, Austryą czy Moskwą — jest* **zdradą idei narodowej.**

„Niech ci, którzy ulegają z tych, czy owych powodów prądowi moskalofilskiemu, ostatecznie zechcą zrozumieć, do jakich celów zmierzają ugodowcy w nowem wydaniu, czyli stronnictwo polskorosyjskie, którego jawnym rzecznikiem jest „Dziennik Poznański.“ Stronnictwu temu zależy na jakiejś przejściowej ugodzie, przeciwnie: idea asymilacyi jest dla nich — jak to pan Kościelski wyraźnie stwierdził — ich *„ostatecznem życzeniem i zamiarem.“*

„I my gotowi jesteśmy, jeśli tego dobro sprawy narodowej wymaga, z tym paktować, oczywiście, by sytuacyę wyzyskać w celu wzmocnienia własnych sił odpornych.

„*Nie lękamy się żadnego czynu, którego wymaga interes narodowy, o ile czyn ten nie sprzeciwia się godności narodowej.*

„Granice między naszym, a wrogów interesem dyktuje nam rozum, granice zaś między tem, co się sprzeciwia, a co nie sprzeciwia godności narodowej, *sumienie narodowe.*

„Idea „asymilacyi państwowej przy zachowaniu odrębności narodowej“ jest najpierw *utopią*, politycznym humbugiem, pozatem sprzeciwia się zarówno naszemu interesowi narodowemu jak i naszej godności narodowej, jest — *zdradą idei narodowej.*“

Jak zaś takie porywy ugodowe szkodzą naszej sprawie, to słusznie wykazuje **„Dziennik Berl.“**:

„Niemcy ufają jeszcze ciągle, wiedząc, że dużo jeszcze u nas ludu nieuświadomionego, a wśród „panów“ naszych znajdują się wciąż jeszcze tacy, co prawią o gotowości tego ludu do „asymilowania się„...

„Wystąpienie p. Kościelskiego *musi utwierdzać Niemców w ich zamiarach złamania naszego oporu ustawami wyjątkowemi.*

„Dziennik Kujawski“ tak się zaś odzywa:

„Mowa ta p. Kościelskiego cała robiła takie wrażenie, jakby mówca stał na gruncie pruskim, asymilował się z naszymi przeciwnikami a krytykował komisyą kolonizacyjną li tylko z finansowego stanowiska, poczytując ją nie za wynik systemu antypolskiego, nie za ogniwo w całym szeregu ustaw wymierzonych przeciw nam, lecz za przypadkowe, błędne dzieło rządu“

„Atoli pytamy jak pogodzić mowę p. Kościelskiego z jego oświadczeniem? Cieszy nas, że p. K. odpiera z oburzeniem insynuacyą, jakoby chciał być adwokatem kierunku ugodowego, ale zaiste kto przeczyta zacytowane powyżej zdanie z jego mowy o hr. Wielopolskim, nie może przyjść do innego przekonania jak tylko, że p. K. w Izbie panów był rzecznikiem ugodowej polityki. Być może, że p. Kościelski nie mówi tego w Izbie panów co myśli, albo, że w Berlinie mówi jedno a w kraju drugie, dziwić się przeto nie może, jeżeli nie wiemy ostatecznie co myśli.

„Dzien. Kuj.“ dawniej wobec polityki ugodowej zajmował wyczekujące stanowisko i bynajmniej nie entuzyazmował się do niej, dzisiaj zaś nie ma w społeczeństwie ani jednego prawdziwego Polaka, któryby nie odsuwał tej myśli od siebie jaknajdalej.

„Aby nie było pod tym względem najmniejszej wątpliwości oświadczamy, że „Dzien. Kuj.“ podpisuje zdanie że:

„*nie jesteśmy i nie będziemy nigdy po polsku mówiącymi Prusakami.*“

Lecz porzućmy już nareszcie tę sprawę, która tyle wywołała goryczy i przejdźmy do innych głosów. Z tych na zanotowanie zasługuje odezwa, jaką przeciwko księżom germanizatorom wydały trzy pisma zachodnio-pruskie: **„Gazeta Gdańska“**, **„Pielgrzym“** i **„Gazeta Toruńska“**. Odezwa ta brzmi:

„Często zachodzą i po gazetach i na zebraniach skargi na niektórych księży młodszych pochodzenia niemieckiego, iż niedostatecznie władają językiem polskim, na ambonie szkaradnie go kaleczą istnemi dziwolągami językowemi, kazania odczytują, a do ludzi, w sprawach duszpasterskich do nich się udających, odzywają się po polsku niechętnie. Cierpi na tem chwała Boża i zaufanie do kościoła św. Ażeby tedy, gdzie należy, przedstawienia, a nawet skargi uzasadnione podnieść, potrzeba nam materyału z naszej dyecezyi.

„Prosimy więc podać nam:

1) który ksiądz?
2) gdzie? czy na ambonie lub gdzie indziej?
3) jak?
4) raz czy często?
5) wobec kogo?

język kaleczył dziwolągami, a zatem zgorszenia się dopuścił. Materyał ten przejrzy jeden z księży dyecezyi, a sprawdziwszy, go zużytkuje w sposób właściwy. Do gazet nic się nie dostanie. Odzywamy się tedy — na życzenia osób bardzo poważnych do wszystkich ludzi dobrej woli, ażeby wiedząc o takich zajściach, dokładnie i zupełnie wiarogodnie, ile możności przytaczając świadków, z własnoręcznym podpisem i z zupełnem zaufaniem do redakcyi naszej donieśli.“

Naszem zdaniem sposób to bardzo dobry!

Na zakończenie zaś wiadomość pomyślna.

Do **„Gazety Narodowej“** we Lwowie piszą z pod *„Sądowej Wiszni:*

„Od pewnego czasu tutejszy dworzec kolei roi się od kolonistów niemieckich, *którzy tłumnie opuszczają okoliczne wsie:* Morzyłowice, Nowosiółki, Bruchnal, Ożembę, Sarnki i t. d. i *wyjeżdżają do Ameryki.* We czwartek wieczorem przybyło na dworzec wiszeński kilkanaście rodzin kolonistów z zamiarem udania się na Kraków, Bogumin i Antwerpię do Kanady. Wszystkich ich było przeszło 30 osób: grunta rozsprzedali miejscowym włościanom i osadnikom z zachodniej Galicyi. Jeden z włościan zapłacił za grunt 12,000 koron.

---

*) Nowy tez projek antypolski przekazany już został sejmowi pruskiemu. Obrady nad nim rozpocząć się mają dnia 26-go b. m. — Przyp Redakcyi.

Emigrują przeważnie ludzie zamożni. Oryginalnie przedstawiały się wczoraj poczekalnie dworca w Sąd. Wiszni. Prócz tych, którzy odjeżdżali za morze, było jeszcze więcej odprowadzających ich na kolej. W jednym kącie zalewała się łzami jakaś staruszka, którą porzucało aż ośmioro dzieci, niektórzy synowie z żonami, pozostał jej tylko jeden syn (dziewiąty) służący obecnie przy wojsku. Koloniści byli bardzo przyzwoicie ubrani, były między nimi dwu i trzyletnie maleństwa. Rozmawiali ze sobą na poły po niemiecku, na poły czystą polszczyzną. Gdy się wszyscy napłakali, odezwał się jeden: „Es ist schon geschehen;“ jedziemy na lepszą dolę, przez nikogo nie przymuszani; pohulajmy sobie na pożegnanie „unserer Heimat.“ I ozwały się tony harmoniki. Grali walczyki, mazury, krakowiaki i tańczyli z harmonikami w ustach. Jeden zaśpiewał: „O du mein Oesterreich“, inny: „Ospały i gnuśny zgrzybiały ten świat“ (hymn Sokołów); w tem rozległ się okrzyk: „Kasa otwarta“ — poczęli się cisnąć po bilety. W 10 minut później na dworcu opustoszało, a włościanie odchodzący do miasta cieszyli się, że „Szwaby wynosiat sia w czużynu.“ Koloniści odjechali pociągiem nadzwyczajnym, który wiózł 562 wychodźców do Kanady ze wschodnich powiatów, przeważnie z tłumackiego.“

Szczęśliwej drogi! *B. M.*



Głosy od przyjaciół.

Wrocław, dnia 15. 5. 02.

Z prawdziwem uznaniem przeczytałem w przedostatnim numerze „Pracy“ napomnienie z *Krobi*, ażeby dobrowolnie nie niemczyć staropolskich nazw miejscowości naszych. To napomnienie szczególniej do serca wziąść powinno wielu zamieszczających ogłoszenia, lub podających najbliższe pocztowe urzędy. Coraz więcej bowiem wkrada się poprostu haniebny zwyczaj podawania stacyi i urzędu pocztowego w zniemczonej formie np. „Podobowitz“, „Punitz“, „Mietschisko“, „Lissa i. P.“, „Weissenburg“. Czyż my sami mamy zamiar wypierać nazwy polskie? Czyż to tak trudno — obok niemieckiej a raczej *przed* niemiecką — także i nazwę polską podać, a co więcej na liście napisać? Bardzo bowiem często, wpadały mi w ręce listy, gdzie z pominięciem nazwy polskiej — *tylko* niemiecka nazwa urzędu pocztowego na kopercie była wypisaną. *X.*

* * *

Essen.

Szanowna „Praco!“

Zasyłam serdeczne pozdrowienie oraz moje współczucie, z powodu prześladowania, doznanego w obronie naszych ideałów najświętszych, i życzę Szanownemu Wydawnictwu jaknajwięcej czytelników tak dzielnego pisma, które tu w Essen swego czasu trucizną było nazwane na zebraniu „Alldeutscherów“, na które też i 10-ciu Polaków się zakradło.

Mowa była wygłoszona przez przywódzcę Hkt. dra Boventschena na temat: „Niebezpieczeństwo polskie na Wschodzie, w Westfalii i Nadrenii.“

Wszystkie te czcze frazesy były tylko ohydnością, ziejącą nienawiścią ku wszystkiemu, co polskie. W oczach ich polskość się za wiele wzmaga, bądź to w kraju, bądź też na obczyźnie.

Nie brakło też krytyki na Przewielebne Duchowieństwo polskie, Towarzystwa nasze, stan średni, rólników, nawet i robotnicy polscy, w głębi Niemiec, zanadto oszczędzają, a potem wykupują ziemię z rąk upadających gospodarzy. Niezapomniano także o prasie polskiej, mianowicie o śmiałości jej występowania po śmierci Bismarcka. Niemieckie zaś duchowieństwo na obczyźnie chwalono, a mianowicie w Bottropie, i wyższą władzę w Paderbornie.

W Bottropie zauważono wielkie postępy germanizacyi, jak się w dyskusyi wyraził pewien obrońca tamtejszego duchowieństwa, iż ono, gdzie tylko może w Towarzystwach i wszędzie pracuje nad zabiciem polskości. Jemu germanizacyą tylko mamy do zawdzięczenia, mówił polakożerca. Takie świadectwo wystawił księżom katolickim z Bottropu hakatysta na powyższem zebraniu „Ehrenprezesów“ w obliczu 10-ciu świadków Polaków. Co powiecie na to Bottropiacy? wy bracia nasi Górnoślązacy, jednej matki dzieci, którym księża na zebraniu prawią: słuchajcie nas, a będzie wam dobrze, (Aber ihr müsst von Bochum fern halten t. j. od „Wiarusa Polskiego.“) Tak! tak! my to wiemy, mości germanizatorzy, jak wy to w sukience katolicyzmu pracujecie w Towarzystwach, gdzieście są prezesami.

Wyjaśnić to na takich Towarzystwach, no! toć już katolikiem nie jesteś, bo przeciw księżom występujesz. Więc nam nic nie wypada, jak dla świętej zgody być cicho i przytakiwać głowami jak nas tajnie i w różny sposób nasi „Ehrenprezesowie“ niemczą. Nadmienić muszę, że nie we wszystkich Towarzystwach się to dzieje; niektóre się takiemu zwierzchnictwu nie poddały i dlatego chorągiew nie ma wstępu do kościoła, którą ów ksiądz sam przedtem poświęcił.

Czy to nie śmieszne?

Na tem kończę na dzisiaj.

Czytelnik „Pracy.“



KRONIKA.

Raz wraz z ciemnych kryjówek wychyla chytrze swą głowę beznarodowy socyalizm u nas i zdradza apetyt, zdradza żądzę otumanienia naszego ludu. Wynurzył się znowu w pierwszy dzień Zielonych Świątek, ażeby zarzucić sieci zdradliwe już nie tylko przy wyborach do parlamentu, lecz nawet do Rady miejskiej i w ogóle przy wyborach komunalnych. Dla skuteczniejszego efektu umyślono nawet wydawać „co prędzej“ w Poznaniu organ socyalistyczny z pomocą funduszu prasowego, który „towarzysze“ polscy obowiązkowo zebrać mają. Miejmy nadzieję, że ten nowy połów niemiecko-polskiego socyalizmu nie będzie obfity a lud nasz w objęciach jego nie będzie szukał zbawienia.

O wiele silniej zapewne niż owe socyalistyczne plany poruszy ducha i serce ludu wiec jubileuszowy, zwołany na przyszły poniedziałek do wielkiej sali „Ogrodu Zoologicznego“ ku uczczeniu Ojca św. Leona XIII, sterującego łodzią piotrową już rok 25-ty ku chwale kościoła naszego. Niewątpliwie z różnych zakątków dzielnicy naszej napłyną tłumy do grodu Przemysława, ażeby wysłuchać budujących przemówień, pokrzepić ducha żywem słowem wiary a współudziałem swym w pięknej uroczystości oddać cześć świątobliwemu Zwierzchnikowi, który niedawno właśnie tak wiele współczucia naszemu narodowi i naszej Ojczyźnie okazał. Będzie to chwila podniosła, albowiem zjednoczą się znów wszyscy bez różnicy zapatrywań politycznych w wyrazie przywiązania do papiezkiego tronu, z którego żadna niesprawiedliwość, żadna krzywda na nas nie spada, ale raczej przybywa do nas pociecha, ulga i otucha, potrzebna do cierpliwego zniesienia krzywd zkądinąd wyrządzanych. Będzie chwila uroczystego nastroju, w której umilkną stronnicze waśni i w której pewnie nawet w łamach „Kuryera“ i „Dziennika“ znać będzie coś w guście zawieszenia broni.

Ale z równą racyą przypuszczać należy, iż po uroczystości jubileuszowej, obaj zapaśnicy wynagrodzą sobie przerwę. I posypią się może obficiej jeszcze skryte pociski z „Dziennika“ w imię hasła „jawnością i jednością silni“, a odpierać je będzie „Kuryer“ argumentami bez haseł specyalnych. ale zgodnemi z naszą narodową nieodmienną ideą.

I czytać się znów będzie czcze tyrady o ścisłości i sile narodowych zasad w jednym rządku, a kilka rządków dalej reklamę w wiadomościach potocznych jakiego niemieckiego wodewilu lub cyrku ze specyalnem poleceniem, że jest „bawarski“. Jakby to bawarzy nie zaliczali się do tej samej narodowości, której sentymenty uczuwamy codziennie na naszych grzbietach; jakby w stolicy tychże bawarów nie wychodziła „Münchener Allgemeiner Ztg.“, która w nienawiści do Polaków współzawodniczy z najbardziej łajdackiemi pismidłami. A jeszcze lepiej prezentuje się ta reklama dla „bawarskiego“ cyrku, gdy w parę dni później na tych samych łamach czyta się o bezczelności pewnego bawarskiego księgarza, który p. Broniszowi z Otoczna napisał list głupiorubasznej treści z powodu, iż tenże obywatel nie przyjął przesyłki pocztowej z fałszywą pisownią wsi „Otoschno“.

Pan Bronisz ubliżyłby sobie, gdyby miał się zadawać w polemikę listowną z byle jakim bawarskim cymbałem polakożerczego typu, ale myśli sobie teraz z pewnością, że chyba nie warto czegoś specyalnie polecać dlatego, że „bawarskie“. A słychać też, że „cyrk“, który nawiedził miasto nasze zupełnie niepotrzebnie, w swej wewnętrznej istocie nie lepszą przedstawia wartość, niż ów księgarz i zarazem cymbał bawarski, który na to — jak się zdaje — ma styczność z książkami, ażeby z nich jaknajmniej się nauczyć. *Alius.*

Album galicyjskiego sejmu.

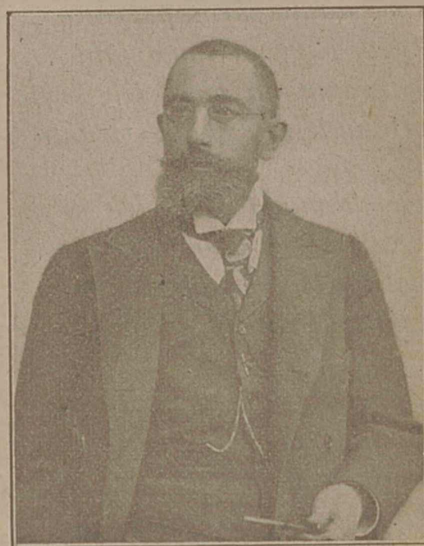
Serya III.



Jan Trzecieski
Sanok. Wielka własność (kons.)



Dr. Ferdynand Mais
Bochnia (demokr.)



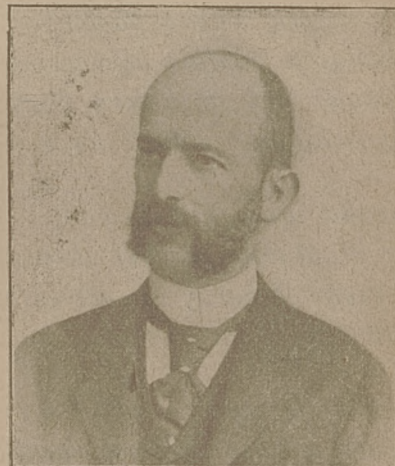
Władysław z Oleksowa Gniewosz
Złoczów. Wielka własność (kons).)



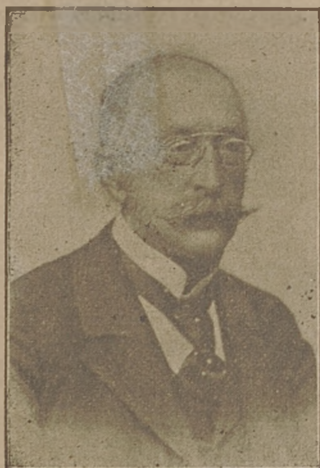
Stanisław Jędrzejewicz
Rzeszów. Wielka własność (kons.)



Franciszek Paszkowski
wielka własność krak. (kons.)



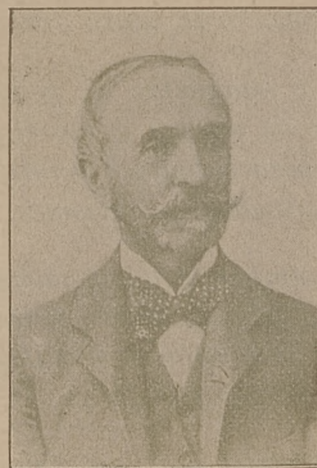
Dr. Stanisław Schätzel
Brzeżany-Złoczów (demokr.)



Mikołaj Krzysztofowicz
Kołomyja. (Wielka własność (kons.)



Dr. Jan Bednarski
Nowy Targ (demokr.)



Jan Gnoiński
Cieszanów. Kurya wiejska.

Boże Ciało.

Ecce panis angelorum!
Pochwalonyś, Chryste-Boże!
Szumią Tobie lipy stare,
Szumi Tobie kłośne zboże...

Ścieżynami skroś pszenicę,
Płynie barwna ludu fala,
Pod sukmaną pierś ich kryje
Najcenniejszy skarb Graala —

Pod sukmaną pierś ich kryje
Żywej wiary zródło czyste,
Niezmącony zdrój ukochań,
Światło Prawdy Twojej, Chryste!

Ścieżynami skroś pszenicę,
Falującą dookoła,
Płynie w barwnych lud sukmanach
Na procesyę, do kościoła...

Dzwony biją już zdaleka,
W porankową rzeźką ciszę
Na strzelistej wieży srebrna
Sygnaturka się kołysze...

Lipy szepcą wkrąg pacierze
Z kwiatów słodkie biją wonie,
Zewsząd lud się zbiera boży
I w świątyni wrotach tonie — —

I upada na kamienie
I w bezmiernej, cichej skrusze
W rzewnej korzy się modlitwie
I otwiera Bogu duszę...

Ksiądz się zwraca od ołtarza,
Drżące w górę wzniósł ramiona —
Ecce panis angelorum!
Płynie pieśń błogosławiona...

I, jak rzeka, gdy z łożyska
Na szeroki łan wylewa —
Tłum z kościoła płynie falą
Pod cmentarne, stare drzewa...

Dym z kadzielnic się podnosi,
Śpiew się miesza z myrrhy wonią,
W komżach białych ministranci,
Idąc przodem, w dzwonki dzwonią.

A za nimi — ksiądz z monstrancyą,
Co, jak słońce, wkoło świeci,
Przed nim polnych kwiatów pęki
Złotowłose sypią dzieci.

A zaś dalej — tłum, jak morze.
Rytmem pieśni się kołysze:
Ecce panis angelorum!
W południową tętni ciszę...

Lipy szepcą wkrąg pacierze,
Drgają liście od upału,
Chwała, chwała Tobie, Chryste,
Chwała, chwała Twemu Ciału!

Przed tak Świętym Sakramentem
Kornie lud pochyla głowy,
Na klęczących słońce sieje
Skroś gęstwinę blask różowy...

Chorągwiami wiatr trzepoce
I na wietrze — hen — tam w górze
Srebrni chwieją się anieli,
Wyszywani na purpurze...

Między boży lud zstępuje
Niewidzialnej promień łaski...
Szare bielą się sukmany
I kraśnieją wkrąg zapaski.

Dym z kadzielnic się podnosi,
Śpiew się miesza z myrrhy wonią,
W komżach białych ministranci
Święty! Święty! Święty! dzwonią...

Zdzisław Dębicki.



Katastrofa na Martynice.

(Do illustracyi.)

Katastrofa, która dotknęła wyspę Martynikę, jest jedną z największych, jakie zapisała nowsza historya ludzkości. Wprawdzie cyklony i tajfun w Ameryce i wschodniej Azyi, trzęsienia ziemi w Japonii i innych krajach, powodzie zwłaszcza w Chinach, sprawiły olbrzymie spustoszenia, a niektóre z nich nawet więcej pochłonęły ofiar, niż na Martynice — mimo to katastrofa w St. Pierre jest jeszcze pełniejszą grozy. Od innych różni się przedewszystkiem niesłychaną szybkością, z jaką rozegrała się rozpaczna tragedya miasta i jego mieszkańców.

St. Pierre spoczywało prawdopodobnie w głębokim śnie, kiedy nastąpił kataklizm. Wulkan wybuchnął niespodziewanie, a siła wybuchu w ciągu kilku już chwil doszła do szczytu. Największe spustoszenie sprawił zapewne deszcz rozżarzonych popiołów i kamieni, który spadł na miasto, rażąc mieszkańców i niecąc pożary. Wszelki ratunek był niemal wykluczony; uciekających dosięgał i powalał grad kamienny, płonące domy także nie dawały schronienia. Pozostawała tylko jedna nadzieja ratunku: morze. Ale płomienny zalew i tu dosięgnął. — Liczne statki drewniane, stojące w porcie na kotwicy, dla zabrania zgromadzonych zapasów trzciny cukrowej, stały się pastwą płomieni, załoga zginęła. Straszną illustracyą jest opowiadanie komendanta parowca „Roddam“, który uratował okręt, odciąwszy liny kotwiczne, ale mimo to utracił większą część załogi. Przerażenie tak było wielkie, że kilku majtków oszalało i w rozpacznej trwodze skoczyło w fale morza.

Katastrofa nastąpiła niespodziewanie. Chociaż Mont Pelée od pewnego czasu wyrzucał kłęby dymu i popiołu, nie wierzono w grożące niebezpieczeństwo, uważano bowiem wulkan dawno już za nieczynny. 22 go stycznia 1762 r. nastąpił mały wybuch, poprzedzony silnem trzęsieniem ziemi; z krateru wydobywały się dymy siarczane i strumienie wrzącej lawy. Drugi wybuch, nie stwierdzony dostatecznie, ale także niemal zupełnie nieszkodliwy, zaszedł podobno w r. 1792. Po raz ostatni przed 50 laty, w sierpniu 1851 roku wulkan okazał swe działanie. Dało się słyszeć silne syczenie, równocześnie spadł silny deszcz popiołu, który wyrządził znaczne szkody. W rozmaitych miejscach pojawiły się słupy dymu. — Po kilku dniach na Mont-Pelée znaleziono ośm małych kraterów, napełnionych wrzącą, smołową wodą, o silnym zapachu siarki.

Od tego czasu wulkan ucichł. Zapomniano zupełnie o jego wybuchach, tak, że Benko, opisując go w swej podróży na okręcie „Zrinyi“ (1885—1886), uważa go podobnie jak pięć innych wulkanów na Martynice — stanowczo za wygasły, a wspomina tylko mimochodem o ostrzegających znakach w roku 1851. Ta silna wiara w nieczynność wulkanu, rozpowszechniona wśród ludności, była powodem tak strasznych rozmiarów katastrofy. Niewielu tylko opuściło miasto, większość nie przywiązywała do dymów, wznoszących się z krateru, żadnej wagi. Dlatego też katastrofę w St. Pierre trudno porównywać ze zniszczeniem trzech kwitnących miast starożytnych: Pompei, Stabiae i Herculanum w r. 79 po Chrystusie, gdzie kilkudniowy deszcz popiołu i kamieni zapowiedział wybuch Wezuwiusza i spowodował gromadną ucieczkę większej części ludności. W St. Pierre zaczęto uciekać dopiero wtedy, gdy nie mogło być mowy o jakimkolwiek ratunku.

Oczywiście brak dokładnego opisu katastrofy i zapewne szczegółów nie dowiemy się nigdy, zważywszy, że prawdopodobnie w mieście ani jedna istota nie pozostała przy życiu. Ale już to, co donoszą depesze, wystarczy, aby wyobrazić sobie niesłychaną grozę i rozmiary wypadku. Pewnem jest, że znisz-



Wybuch wulkanu Mont Pelée na wyspie Martynice.

czenie nastąpiło w przeciągu niezwykle krótkiego czasu i że mieszkańcy zginęli głównie wskutek ognistego deszczu, a nie w potokach lawy, bo ta nie rozlewała się tak prędko, aby nie można było ujść przed jej zalewem. Być może, że wskutek gwałtownego ruchu wulkanicznego pootwierały się wiekie czeluście, które pochłonęły wielu uciekających; może nagłe wezbranie fal morskich położyło kres życiu innych. Przypuszczenia te będzie można sprawdzić z czasem, gdy ostygła lawa i uspokojenie się wulkanu pozwolą zbliżyć się do miejsca zagłady.

Rozmiarów katastrofy i dotąd jeszcze nie można ocenić. Wybuch trwa dalej. Równocześnie z pobliskich wysp dochodzą niepokojące wiadomości. Na St. Vincent wybuchnął tamtejszy wulkan Morne-Garou. Dotychczas wybuch ten nie przybrał jeszcze zastraszających rozmiarów, ale lada chwila może to nastąpić. Podobnie na wyspach Barbados i Dominica nastąpiły silne trzęsienia ziemi. Pomniejsze wulkany, znajdujące się w tych okolicach, wyrzucają dymy i popioły.

W „Daily Express“ znajdujemy następujący opis naocznego świadka strasznego zniszczenia, jakie wybuch spowodował. Na morzu, pokrytem szczątkami okrętów i lawą, pływały setki zwłok ludzkich. Więcej jeszcze trupów widać było przy brzegu. Prawdopodobnie w chwili strasznego wybuchu rzuciła się ludność w szalonym pędzie ku morzu. Niektóre trupy były strasznie zeszpecone. Jedno było uderzające, że wszystkie były nagie. Odzież Murzynów jest wprawdzie bardzo skromna, przypuszczają jednak, że uciekając zrywali ją z siebie, ażeby zasłonić twarze przed strasznem gorącem i deszczem ognistym.

W całem St. Pierre nie było ani jednej żyjącej istoty. Poszarpane, samotne, spoczywały pod stosami popiołu i kamieni. Nad gruzami roztaczały się, na podobieństwo całunu, obłoki dymu i kurzu. Gorąco, unoszące się z dymiących się zgliszczów, było nie do wytrzymania.



Zburzone przez wybuch wulkanu Mont Pelée miasto Saint-Pierre na wyspie Martynice dnia 8-go maja r. b.

Żołnierze odszukują zwłoki i palą je przy pomocy drzewa i nafty. Pewna ilość księży odczytuje przy płonących stosach modliwy za umarłych. Huk czynnego wciąż wulkanu brzmi jak pieśń pogrzebowa, ogień zaś, wydobywający się od czasu do czasu z krateru, oświetla mroki, spowodowane przez deszcz popiołów, jak olbrzymia pochodnia.

Konsul Stanów Zjednoczonych w Gwadelupie, który udał się w imieniu swego rządu do Fort de France, by sprawdzić rozmiar katastrofy, telegrafuje: „Katastrofa zupełna. St. Pierre nie istnieje. Gubernator powiada, że 40,000 osób zginęło, 50,000 osób bez chleba. Niech Towarzystwo Czerwonego Krzyża pospieszy z pomocą.“

Cała prasa francuska oddaje w gorących wyrazach hołd pamięci gubernatora Martyniki, Moutteta, który w przededniu katastrofy, mimo grożącego wybuchu, udał się osobiście do St. Pierre dla wydania odpowiednich poleceń. Nie wrócił już więcej, osierocając troje małych dzieci.

Wśród skromnej liczby rannych, którzy zdołali ujść śmierci, znajduje się służąca, Laurent. Widziała ona służbodawców swych, padających, jak od uderzenia piorunu. Opowiada ona, że w dniu karastrofy o świcie wydano wszystkim mieszkańcom polecenie nie wychodzenia na ulicę. W całem St. Pierre jeden tylko gmach bankowy posiadał piwnice i te pozostały nienaruszone. Nikt jednak, nawet służba bankowa, nie szukał tam schronienia.

ski.



SŁOWIK.

Fragment.

Królu śpiewu!
Najsławniejszy,
Synu gajów
Najmilejszy.
Nuć piosenkę swoją nuć,
Krzaku nie porzuć.
Ja cię całem słucham uchem,
Całem sercem, całym duchem...

* * *

Niech tam inni mkną
Na koncertów rój,
Na zabawy, gry, hulanki,
Z tobą jam wciąż — twój...

* * *

I cóż Mozart?
Cóż Rossini?
Cóż Liszt? Heiden?
Paganini?
Twoje pieśni istny cud,
Bo je śpiewasz z Bożych nut...

Miron.





Samoanka. Podług fotografii z natury.

Mieszkańcy wysp Samoa.

(Do illustracyi.)

Dla człowieka postać ludzka jest najpiękniejszą; inaczej być nie może, piękność ta uwarunkowaną jest równomiernym rozwojem wszystkich części. Wychodząc z tego punktu patrzenia, przyznać musimy, iż jedną z najpiękniejszych ras ludzkich jest polinezyjska, szczególnie zaś Samoańczyków.

Ludzie plemienia tego, z twarzą okraszoną, uśmiechem łagodnym, niemal dziecięcym, są tem bardziej interesującymi, gdyż są to resztki narodu niegdyś licznego, a obecnie już wygasającego.

Brzydsza połowa rodu samoańskiego odznacza się piękną budową ciała, niezwykłą zręcznością i gibkością w ruchach, oraz wyrazistością rysów twarzy. Na twarzach mężczyzn nie widać owego wydatnego typu, właściwego rasie malajskiej. U kobiet typ ten jest nieco wyrazistszy. Mniejsze od mężczyzn, zdradzają dążność ku otyłości, niemniej jednak budowa ciała ich jest nader zgrabną, a z rysów twarzy i żywych oczu widnieje umysł bystry, wesoły, niezachmurzony troskami życia codziennego...

Podróżnicy, którzy zwiedzali wyspy oceanu Spokojnego przyznają zgodnie, że prawie wszyscy Polinezyjczycy odznaczają się niezwykle piękną budową ciała, uśmiech zaś, przebiegający po ustach kobiet samoańskich, walczyć może o pierwszeństwo pod względem uroku i wdzięku prawdziwie niewieściego. Piękny rząd zębów, niby perły białych i foremnych, przyczynia się do podniesienia tego uroku.

Gdy przed kilku laty bawiła w Berlinie trupa Polinezyjczyków z wyspy Samoa, słynny profesor i uczony Rudolf Virchow nie mógł nadziwić się piękności form tych ludzi, ich ruchom niewymuszonym, naturalnym, jakie trudno wyobrazić sobie można u plemion dzikich.

Opisując wizytę swą u Polinezyjczyjków prof. Virchow między innemi napisał: „Kobiety szczepu tego mają ruchy ciała tak zgrabne, jak gdyby od dziecka kształciły się w szkole najlepszego towarzystwa europejskiego".

Ubraniu Samoańczyków również należy się słów kilka. Ubiór ów, jak wiadomo, służy potrzebom, wynikającym z warunków klimatycznych danej okolicy, jako też z poczucia wstydliwości, wrodzonej wszystkim ludom kuli ziemskiej. Ponieważ klimat na wyspach Samoa przez przeciąg całego niemal roku nie zmusza mieszkańców do chronienia ciała przed zimnem, ubiór więc jest tam raczej wynikiem poczucia wstydliwości, nie kryje jednak wcale rąk, nóg, ani piersi.

Zazwyczaj kobiety i dziewczęta samoańskie okrywają się w połowie ciała tkaniną, z cienkiego łyka sporządzoną. W klimacie europejskim okrycie to nie chroni od chłodu, który wielce dokucza zgrabnym dzieciom wysp Samoa, zastępują je więc tkaniną bawełnianą, wzorzystą, którą przepasują zazwyczaj szarfami jedwabnemi; gęste czarne włosy przystrajają kwieciem świeżem, którego brak w porze zimowej nieraz Samoańczykom odczuwać się daje.

Wpływ ubrania na formy ciała i ruchy Polinezyczyjków jest większym, aniżeliby się na pierwszy rzut oka zdawało. Na obnażone ręce i nogi pada wciąż wzrok ludzki, stąd też właścicielka owych rąk lub nóg od lat najmłodszych zwraca na nie uwagę i stara się przyzwyczaić je do ruchów zgrabnych, okrągłych. Przymiot ten, starannie uprawiany, przechodzi następnie z pokolenia na pokolenie i staje się właściwością charakterystyczną plemienia.

Z tego samego powodu i mimika Polinezyjczyków jest nader wyrobioną w porównaniu do mimiki Europejczyków, zwłaszcza północnych, bardzo oszczędnych w gestykulacyi. Mieszkaniec wysp Samoa mówi nie tylko słowami, ale i wzrokiem, ruchami twarzy i rąk. Mowa jego jest tak wyrazistą pod względem poglądowym, że tylko człowiek niedomyślny nie potrafi porozumieć się z Samoańczykiem. Dlatego to właśnie pierwsi przybysze europejscy na wyspy Oceanu Cichego tak łatwo przyswoili sobie mowę plemion i narodów po raz pierwszy widzianych.

O ile ruchy Polinezyjczyków wogóle, a w szczególności Samoańczyków są bardzo zgrabne w spokojnym chodzie, o tyle naturalnie jeszcze bardziej są zręcznemi w tańcu. Europejczyk nie dostrzeże tu nic, coby zdradzało jakąś dzikość, coby sprzeciwiało się zasadniczym pojęciom piękna.

Adalbert Chamisso, poeta niemiecki, w swej „Podróży na około świata" z uniesieniem odzywa się o tańcach samoańskich: „to co my nazywamy „sztuką" choreograficzną i co widzimy w baletach, przedstawianych na scenach, w porównaniu z tańcem polinezyjskim wydaje mi się mdłem i niewyrażającem tego, co wyrażać powinno. Od tych „dzikich" należało się nam „wykształconym" uczyć sztuki tańca."



Jezioro Safune na wyspie Safai (Samoa).

Akopaniamentem do tańca jest śpiew ludzki i głos bębenka. Dziwnie brzmi śpiew Polinezyjczyków: to nie jest krzyk dziki, to pieśń poważna, niemal klasyczna w układzie akordów, chociaż nie zawsze stosujaca się do prawideł harmonii, przyjętej przez Europejczyków — mimowoli przenosi słuchacza w dawne dzieje i przywodzi na myśl klasyczny *choros* Hellady.



Tancerka samoańska.

Do najoryginalniejszych tańców polinezyjskich należy taniec, wykonywany przez dziewczęta w pozycyi siedzącej. Zręczność ruchów w tańcu tym jest istotnie godną podziwu.

Życie bez trosk w klimacie łagodnym, który oszczędza człowiekowi pracy, mającej na celu zdobycie środków żywnościowych, pozwala na rozwój poezyi. Przyczynia się do tego i język samoański, dźwięczny, potoczysty. Oto próbka jednego z licznych poematów:

Salofa matua soia le tazi,
O lea ou ala i Siamiani
Tataio ma tazi ma e faatali
Pe pule le alii e feiloai.

Chór.

Oi tagi e ma faanoano
Talofa Samoa ua le iloa
Le faamoemoe larei ua mao
O lea ou alu i nuu.

Na Jeou moemoe ile fai lau lia
Monatu alofa i iou diga.
Fia feiloai ma lulu lima
Pe ailoga ea toe foi mai ita.

Jest to pożegnanie odjeżdżającego w obce kraje. W tłómaczeniu słowa powyższe oznaczają: „O droga matko, nie płacz, że w obce odchodzę kraje, módl się za mną i miej nadzieję. Gdy Bóg pozwoli, powrócę. (Chór). Tak, ja płaczę na myśl o drogiej ojczyźnie. Nikt nas nie wypędza z Samoa, pocóż więc iść w obce kraje. Zostań więc między nami, wśród uścisku dłoni przyjaznych. Kto wie, czy z obcych powrócisz krajów i czy jeszcze nas zobaczysz".



Dziewczyna samoańska.

Rzewność tych słów potęguje się jeszcze rzewnością melodyi.

H. M.



Oszustwo na 40 milionów.

Jedno z najsensacyjniejszych oszustw na olbrzymią skalę, powikłane z szeregiem intryg miłosnych, procesów i tajemniczych testamentów, ciągnące się od lat przeszło dwudziestu, zbliża się do sądowego rozwiązania. Sprawa ta, znana w Paryżu pod nazwą „Humbert-Crawford" przedstawia się w streszczeniu jak następuje:



Dziewczyna rasy mieszanej.
(Ojciec Europejczyk, matka Samoanka).

W r. 1884 osiedlili się w Paryżu państwo Humbert. Mąż był adwokatem; pani Humbert, z domu d'Aurignac, wniosła mężowi w posagu sto milionów franków w gotówce i papierach wartościowych. W r. 1883 miał umrzeć w niewiadomem miejscu nieznany nikomu milioner Robert Henry Crawford. Testamentem, dokonanym w Nicei 6 września 1877, zapisał cały stumilionowy majątek pani Humbert, która, jako dziewczyna wiejska, nazwiskiem Daurignac, mieszkała w okolicach Tuluzy. Bogata dziedziczka, wyszedłszy za mąż za adwokata Humberta i zamieszkawszy w Paryżu, poczęła korzystać z majątku. Zakupiła więc piękny pałac, zamek koło Melun i dobra w okolicy Narbonny — wszystko na kredyt. Kupcy chętnie go udzielali posiadaczce stu milionów, które spoczywały na dnie tajemniczych kufrów i kas ogniotrwałych.

Tymczasem — jak twierdziła p. Humbert — zjawili się u niej pewnego dnia dwaj młodzieńcy, przedstawiając się jako Robert i Henryk Crawfordowie, siostrzeńcy zmarłego milionera i przedstawili testament zmarłego wuja, sporządzony tego samego dnia i w tem samem mieście, co zapis na rzecz p. Humbert. Testament dzielił majątek między Maryę d'Aurignac — siostrę p. Humbert — i obu siostrzeńców w równych częściach. Crawfordowie mieli złożyć we Francyi kapitał zapewniający Teresie d'Aurignac (późniejszej p. Humbert) rentę 30,000 franków miesięcznie.

Któryż testament jest prawdziwy? Szlachetni młodzieńcy — których prócz p. Humbert nikt nigdy nie widział —



Budowa chaty na wyspie Samoa.

okazali się bezinteresownymi jak rzadko. Co im zresztą zależało na pieniądzach, skoro każdy posiadał i tak po 200 milionów? „Wolą spadkodawcy — rzekli — było najwidoczniej złączyć rodziny Crawfordów i d'Aurignaców. Teresa d'Aurignac jest zamężną; niech więc Marya odda jednemu z nas rękę. Za tę cenę zrzekamy się spadku.

— Ależ Marya będzie pełnoletnią, dopiero za $1^1/_2$ roku — zauważyła p. Humbert.

— Poczekamy — odparli młodzieńcy. Do chwili jej decyzyi majątek odda się w sekwestr. Oto jedyny nasz warunek. Obowiązki sekwestra będzie pełniła — pani. Papiery i gotówkę razem opieczętujemy. Pod groźbą utraty praw do majątku, nie wolno pani tknąć pieczęci...

Tyle dowiedzieli się wierzyciele i z wszelką gotowością dopomagali p. Humbert przetrwać półtora roku, dzielące ją od zawładnięcia stu miljonami... Złoto płynęło strugą z banków i kas prywatnych. Nikt nie wahał się z pożyczką, zoczywszy liczne pakiety i szkatułę, w których, pod pieczęciami, spoczywał spadek po wielkodusznym milionerze.

Minęło półtora roku. Wierzyciele przybyli do pałacu — usłyszeli od p. Humbert następującą radosną nowinę:

Marya d'Aurignac — nie wybrała jeszcze męża. Dziewczę młode, płoche... Ale bracia Crawford, skłonni do ustępstw zrzekają się mimo to praw do spadku za wynagrodzeniem 6 miljonów franków. Pani Humbert pozostaje 94 miljonów do rozporządzenia. Umowa już zawarta.

Od tej chwili zachodzi nawet zwrot sensacyjny. Wierzyciele naciskali coraz gwałtowniej; otwarcie tajemniczych pakietów stawało się koniecznem. Wtedy, jak na zawołanie, bracia Crawford... zerwali umowę. Nie wierzono w ich istnienie, więc stwierdzili je — szeregiem procesów przeciw p. Humbert. Dziwne to były procesy. Nikt nie znał miejsca pobytu skarżących, nawet adwokaci, którym dawali zlecenia i honorarja. Co chwila zapadały wyroki zaoczne, szły apelacye do najwyższego trybunału... Procesy trwają od 15 lat i jeszcze się nie pokończyły, choć w wielu instancyach wygrywała p. Humbert. To dodawało cierpliwości wierzycielom, którzy ogółem pożyczyli pani Humbert czterdzieści miljonów franków.

Sumę tę wyłudziła p. Humbert od kilkunastu banków, od ludzi prywatnych i lichwiarzy. Skupowała zamki, dobra, pałace, pola djamentowe, założyła dziennik dla Freycineta, bank w Paryżu, faktorję handlową na Madagaskarze, Towarzystwo ubezpieczeń. Ale nie ograniczała się do brania pieniędzy: wypłacała nieraz znaczne sumy w gotówce od 300,000 do 1 i pół miljona franków. To wzbudzało zaufanie i ułatwiało dalsze pożyczki.

Ale nareszcie wszystkie instancye oddaliły większą część skarg Crawfordów. Trzeba było otworzyć kufry z pieniędzmi. Wtedy p. Humbert wyraziła powątpiewanie, czy wolno jej spłacić Crawfordom 6 miljonów z owych 100, które posiadała? Wniosła do sądu prośbę o zezwolenie. Crawfordowie odpowiedzieli szeregiem podań i kruczków, które sprawę przewlekły.

Ale nawet najdłuższy proces musi się zakończyć. Sąd zezwolił na spłacenie Crawfordów z sum spadkowych. Gdy p. Humbert mimo to wahała się otworzyć kufry z miljonami, wierzyciele postanowili zmusić ją do tego sądownie. D. 6 maja przegrała p. Humbert proces o zapłacenie 130,000 franków. Na żądanie wierzycieli komisya sądowa przystąpiła do zbadania inwentarza majątku p. Humbert. O wyniku badań donoszą dzienniki paryskie pod d. 10 maja co następuje:

Świeżo przed pałacem pani Humbert zebrało się około dwóch tysięcy osób które z ciekawością oczekiwały wyniku rewizyi.

Jest to elegancki pałac arystokratyczny z napisem herbowym na górze: „Pro fide et patria." Był on ongi własnością hr. Branickiego, który przed kilkunastu laty sprzedał go pani Humbert i ztąd też figuruje na liście jej wierzycieli.

O godz. 1 w południe pojawili się obaj notaryusze ze swoimi sekretarzami, by otworzyć tajemnicze żelazne kasy pani Humbert i zrobić ewentualnie inwentarz z owych 100 miljonów majątku. Przyszli z nimi także wierzyciele, którzy się tego domagali. Największą uwagę zwracał na siebie prokurator, który pojawił się również, by w danym razie natychmiast wnieść skargę o oszustwo.

Kiedy portyer otworzył drzwi pałacu, okazało się, że pani Humbert wyjechała rzekomo na wycieczkę, powszechnie jednak sądzą, że wraz z mężem uciekła. Tłum, który z wielką ciekawością oczekiwał wyniku rewizyi, ilekroć który z lokajów pojawił się w oknie krzyczał: „rzućcie nam choćby miljon z tych 100 miljonów!"

O godz. 2 członkowie komisyi opuścili pałac. Wychodząc, zachowali wobec wszelkich pytań milczenie, jednakże sam fakt, że cała rewizya trwała tylko godzinę, świadczył, że niemożliwem było w godzinie zrobić inwentarza ze 100 miljonów.

Okazało się wreszcie wieczorem, według komunikatu, nadesłanego dziennikom przez prokuratoryę, że w kasach pani Humbert znaleziono tylko próżne pudełko z brylantów i nic nieznaczące papiery...

Podobno pani Humbert schroniła się do Anglii. Policya wysłała za nią listy gończe. Oprócz tego wierzyciele wysłali cały zastój prywatnych agentów.

K. P.



Z tajemnic świata zagrobowego.

Przed czterdziestu laty mieszkała w Warszawie wdowa po śp. generale Strażu. Znana ta z zacności kobieta, pewnego razu opowiadała w towarzystwie przyjaciół o widzeniu męża, jakiego była świadkiem.

Śp. mąż jej zestarzawszy się i uwolniwszy ze służby wojskowej, osiadł na wsi, gdzie z miejscowym proboszczem żyli od dawna w ścisłej przyjaźni i nie było dnia, aby się nie odwiedzali. W rozmowie, przyrzekli sobie, że który z nich wpierw umrze, odwiedzi swego przyjaciela. Traf zrządził, że starcy pewnego dnia razem się rozchorowali. Ponieważ generał mocno był chory, tajono przed nim chorobę proboszcza, który wkrótce umarł i został pochowany. Doktor miejscowy, obawiając się wrażenia na chorym, zakazał kogokolwiek wpuszczać do generała, a tem mniej wspominać mu o śmierci proboszcza. Generałowa przeto sama pilnowała męża, a dla pewności nie opuszczała wraz z domownikami ani na chwilę pokoju, przylegającego do komnaty męża, połączonej jedynemi drzwiami z tym pokojem.

Tegoż dnia, w którym pochowano proboszcza, generałowa, siedząc w pokoju późno w nocy ze swą kuzynką i służbą, usłyszała, jak mąż rozmawiał z kimś w swym pokoju, a jednocześnie wszyscy poznali głos proboszcza. Zdziwieni, usłyszeli następującą rozmowę:

— Tak, generale, chorowałem i umarłem, a dziś mnie pochowano. Dotrzymuję danego ci słowa i stawiam się, by cię o tem zawiadomić.

— Jeżeli zmarłeś proboszczu, a Bóg pozwolił ci jednak przyjść do mnie po śmierci, to widocznie jesteś zbawiony. Powiedz, proszę, co ja mam czynić, abym również zbawiony został?

— Czyń, jak umiesz, a zbawion będziesz, zakończył proboszcz rozmowę.

Generał przywołał żonę i czynił jej wymówki, że taiła przed nim zgon proboszcza.

Opowiadanie to generałowa poręczała słowem swej powagi i zacności.

* * *

Nadzwyczajny poseł przy dworze saskim, opowiadał w licznem kole zna-

jomych widzenie swego brata Alfreda. Mieszkał on w Irlandyi, a w pewnem oddaleniu, zamieszkiwała jego siostra, posiadająca w rodzinie szczególne poważanie. Alfred pewnego razu miał jakiś interes do ciotki staruszki, chciał zasięgnąć jej rady, ale czas nie pozwalał mu widzieć się z nią.

Pewnego dnia Alfred i jego żona, położyli się do łóżek, lecz zaledwie zdołali zdrzemnąć się nieco, przebudził ich głos ciotki staruszki, w gościnnym pokoju, przyległym do sypialnego.

— Zdaje się, że słyszę głos ciotki twojej — przemówiła żona do Alfreda.

Alfred zerwał się z łóżka i potwierdził domysł żony.

Oboje domyśleli się, że ciotka odwiedziła ich w jakiejś sprawie nie cierpiącej zwłoki. W tejże chwili posłyszeli jej głos:

— Alfredzie! Nie lękaj się, wstań i przyjdź tu do mnie. Żony twej nie potrzebuję. Nie chcę, aby wstawała.

Żona Alfreda chciała również ubrać się i wyjść, lecz usłyszawszy rozkazujący ton kapryśnej ciotki — pozostała w łóżku. Alfred zaś wstał, włożył na siebie szlafrok, zapalił świecę i wyszedł do pokoju gościnnego, zastał ciotkę ubraną jak zwykle, w skromną suknię, starej formy.

W chwili ukazania się Alfreda staruszka siedziała na kanapie, a uczyniwszy znak ręką, że powitanie niepotrzebne, wskazała Alfredowi krzesło obok kanapy. Alfred usiadł. Między ciotką a synowcem zaczęła się długa rozmowa, której każde słowo słyszała żona Alfreda. Stara ciotka była sceptycznie usposobioną w rzeczach wiary, aniżeli dawniej. Następnie przeszła w rozmowie do spraw familijnych i udzieliła Alfredowi wiele rad i wkazówek. Rady te były nader cenne i korzystne dla stanu interesów majątkowych Alfreda.

Po skończonej rozmowie, ciotka podniosła się z kanapy, a znakiem uchyliwszy się od pożegnania, zniknęła, ale to w tak dziwny sposób, że Alfred zrazu tylko zaniepokojony, teraz się przestraszył. Jakkolwiek przestraszony pobiegł za ciotką, sądząc, że schodzi ze schodów, ale tam ciotki nie znalazł. Zwołano służbę, przeszukano dom cały, lecz nigdzie staruszki nie odnaleziono.

W dwa dni później otrzymano wiadomość, że w tej właśnie chwili, kiedy państwo Alfredowie widzieli i słyszeli ciotkę u siebie, ona leżała na łóżku w ostatniej agonii.

* * *

Proboszcz w jednem z miast francuskich, ksiądz M. B. opowiada o zdarzeniu następującem: Pojechawszy raz na wakacye do jednego z wujów swoich, który dzierżawił dobra Jouy, w departamencie Aveyron, zdarzył mi się następujący przypadek w domu, o którym od dawna utrzymywano, że w nim „coś przeszkadza".

Pewnego dnia, zostawszy sam w izbie czeladniej, czytałem najspokojniej Wirgiliusza. Podczas tego dreszcz mnie jakiś przejął, podniosłem oczy i spostrzegłem obok siebie człowieka o czerwonej twarzy, ubranego w długi surdut szaraczkowy i mającego na głowie kapelusz z wielkiem rondem nasunięty na oczy. Nie miałem odwagi przemówić do niego; podniosłem się, a nieznajomy wówczas usunął się na bok, jak gdyby chciał mi zrobić miejsce. Nadmieniam, że byłem sam jeden w domu, że wszystkie drzwi były pozamykane. Wyszedłszy do izby leżącej obok, rzekłem sam do siebie: to tylko strach ukazał ci tego człowieka — jakieś przywidzenie. Po chwili zacząłem czytać dalej książkę, lecz gdy w kilka minut później podniosłem oczy, znowu ujrzałem nieznajomego przed sobą.

Tym razem powstałem szybko, wyszedłem na podwórze, zatrzymałem się na chwilę i znowu pomyślałem: Wstydź się. Czegóż się boisz? Człowieka, który ci z drogi ustępuje? Po namyśle chciałem się wrócić do izby, lecz usłyszałem w stajni szmer, podobny do tego, jaki powstaje, gdy się coś łopatą wygarnia. Ochłodłem więc z wrażenia i sądząc, że to był jeden z parobków, który z pola powrócił, ażeby stajnię wyczyścić, wszedłem do niej pospiesznie, lecz zdziwiłem się wielce, ponieważ w stajni nie zastałem nikogo; znowu chciałem się oddalić, lecz usłyszałem kogoś kopiącege w ogrodzie, który dotykał do podwórza, ale i tam ku wielkiemu zdziwieniu, nie zastałem nikogo, a nawet i śladu kopania nie znalazłem.

Nie wierząc w widziadła tego rodzaju, byłem przekonany, że to omamienie zmysłów, a chcąc przekonać samego siebie o złudzeniu, poszedłem do izby, którą poprzednio opuściłem, z postanowieniem zapytania tego człowieka, zkąd przychodzi i czego żąda, o ile naturalnie zastanę go tam jeszcze. Przechodząc jednak z ogrodu przez podwórze ku domowi, usłyszałem w piwnicy silne stukanie w próżną przewróconą beczkę; włożyłem więc głowę w okienko, lecz bębnienie natychmiast ustało. W piwnicy nie było jednak nikogo. Tym razem nie mogłem się już wstrzymać. Uciekłem czemprędzej z domu, który miałem pilnować, a przybiegłszy do parobków, którzy orali niedaleko, opowiedziałem im wszystko, co mi się zdarzyło. Nie zdziwili się tem bynajmniej, bo każdy z nich słyszał już nieraz w tym domu podobne odgłosy, a szczególniej w niedziele i święta, podczas mszy lub nieszporów. *Z.*



Płomienny Fonsio.

(Z życia kolejarzy.)

Pan Alfons Pukalski, po rocznych uciążliwych studyach w szkole telegraficznej zdał egzamin i otrzymał pierwszy etat telegrafisty na małej stacyi kolei w Królestwie Polskiem.

Naczelnik przeznaczył pana Alfonsa na głęboką prowincyę wskutek gorącej prośby matki, która, znając płomienne serce Fonsia, obawiała się dla synka zgubnego wpływu syren warszawskich. Bohater nasz, grzeczny bardzo kawaler, objąwszy służbę na przeznaczonej mu stacyi — poskładał wizyty wszystkim kolejarzom, prowadzącym domy familijne; wszędzie zrobił wrażenie, a już największy sukces osiągnął w domu pana zawiadowcy, szczęśliwego ojca kilku dorosłych córek.

— Wcale do rzeczy młody człowiek, — zaopiniowała pani zawiadowczyni, po pierwszej wizycie Fonsia.

— A jaki przystojny! — wykrzyknęła z zachwytem panna Zuzia.

— I elegancki — dodała Fruzia, co reszta sióstr zgodnym chórem potwierdziła.

Papa spojrzał znacząco na mamę, pokręcił wąsa i bąknął, niby od niechcenia.

— Phi! taki sobie facecik!

Streszczając to w kilku słowach, powiedzieć można, że: pan Alfons Pukalski „wpadł w oko" panienkom i dzięki temu zapewne, mile był widywany w domu zwierzchnika, a nawet zdążył zawiązać niewinny flircik z panną Zuzią, czego mama zdawała się niespostrzegać, a papa, który więcej miał „facecika" na oku, klepał go raz po raz po ramieniu i przestrzegał poufale:

— Tylko się pan nie bałamuć, bo ja tego nie lubię!

Flircik z panną Zuzią nie przeszkadzał Fonsiowi lustrować pociągi osobowe, zatrzymujące się na stacyi i wzdychać do pięknych pasażerek, wychylających się z okien wagonów.

Fonsio przepadał za „niewiastami", jak zwykle nazywał płeć nadobną.

Gdy pociąg osobowy, kuryer lub pośpieszny dochodził do stacyi, Fonsio załatwiał spiesznie, co do niego należało, zapinał szczelnie mundur, wkładał fantazyjnie czapkę na głowę i z różą w ręku wybiegał na peron, aby dopełnić zwykłego przeglądu wagonów pierwszej i drugiej klasy, „trzeciaki" omijał, jako niegodne uwagi. Spostrzegłszy jaką

interesującą z „niewiast“, stawał w niemym zachwycie, nadając twarzy wyraz tęsknej melancholii i wpatrywał się w nieznajomą pasażerkę, jak gdyby razem z poetą:

Chciał całować jej usta
I tulić ją do siebie!

Najczęściej niewdzięczne „niewiasty“ chłodziły te niewczesne zapały ostrem spojrzeniem lub ironicznym uśmiechem, trafiały się jednak „bohaterki Kapitolu“, które wywzajemniały się telegrafiście „perskiem okiem“, co płomiennego Fonsia z równowagi wyprowadzało. Przyciskał do ust różę, kładł ją na sercu, poczem zręcznym ruchem wrzucał kwiatek przez okno do wagonu.

Dzwonek, świst maszyny i łoskot ruszających w dalszą drogę wagonów pozbawiał Fonsia przytomności; słał pasażerkom od ust pocałunki i wiewał amarantową chusteczką na znak pożegnania.

Sygnały Fonsia poczęły niepomiernie denerwować zawiadowcę. Odwołał pewnego razu telegrafistę na stronę i zmył mu porządnie głowę.

Fonsio w myśl przysłowia: „na złodzieju czapka gore“ oblał się rumieńcem i zaczął coś bąkać na usprawiedliwienie. Zwierzchnik namarszczył się srodze i rzekł surowo:

— Zabraniam panu wiewać amarantami! nie wolno pociągowi dawać żadnych znaków bez ważnej potrzeby!

Fonsio zmilczał politycznie i udał się do biura, gdzie rozmyślając o pięknych pasażerkach, o zawiadowcy i o Zuzi, zaczął przyjmować i wysyłać służbowe depesze.

Feralny to jednak musiał być dzień dla niego!

Po skończonej służbie pobiegł, jak zwykle, do ogrodu stacyjnego, gdzie panny zawiadowczanki grały w krokieta. Zaproszony do partyjki z przyjemnością wziął udział w grze, która dawała mu pole do wykazania wrodzonego wdzięku i gracyi.

Panna Zuzia śledziła ruchy eleganckiego kawalera z widocznem upodobaniem, wtem biedny Fonsio tak zamaszyście uderzył kulę młotkiem, że aż podskoczyła i... trafiła Zuzię w nóżkę!

Rozgniewana panna rzuciła młotek i, kulejąc, poszła w głąb ogrodu a za nią pospieszył strapiony Fonsio.

Złożył ręce i tłómaczył się:

— Panno Zuziu!.. przebecz!... zrobiłem to niechcący!...

— Idź pan sobie — przerwała mu rozdrażniona panna.

Fonsio stracił głowę.

— Pani! szepnął — pozwól ucałować nóżkę, którą ta niegodziwa kula tak dotkliwie obraziła!

— Idź pan do swoich pięknych pasażerek! — usłyszał w odpowiedzi, co go ostatecznie pogrążyło. Przyskoczył do Zuzi, pochwycił ją za rączkę i padłszy przed panną na kolana, przemówił drżącym głosem:

— Ktoś mnie przed panią oczernił!.. Nie znam i nie chcę znać żadnych pasażerek!.. pani jedna jest dla mnie wszystkiem!

Zuzia oblała się pąsem i, rzecz szczególna, zapomniała o dotkliwym bólu i nie broniła chłopcu rączki, którą Fonsio okrył gorącemi pocałunkami.

Nagle szelest w krzakach oprzytomnił młodą parę; Zuzia spojrzała na Fonsia bardzo słodko i jak sen zginęła mu z przed oczu.

. . . .

Fonsio ochłonął. Wracał wolnym krokiem do domu i rozmyślał, co z tego może wyniknąć?

— Szczęście, że świadków nie było, — mruknął, lecz dreszcz go przeszedł, gdy sobie przypomniał ów podejrzany szelest w krzakach. — Co to było?

— No — szepnął — jeżeli to była mama, zginąłem! wezmą mnie na „sakrament“!

— Fonsiu, trzymaj się! — monologował dalej — jaka ona szykowna!... z jakim wdziękiem kulała!.. A jak spojrzała na zgodę! Fonsiu, trzymaj się! weksluj tak, żeby się pociągi nie rozbiły!.

Roześmiał się sam z siebie, a wieczorem skreślił długi i serdeczny list do „mamusi“, że choć mu zbywa na rozrywkach, to jednakże przy pracy czas mu szybko płynie!

„Chłop strzela Pan Bóg kule nosi“!

Fonsiowi zdawało się, że szczęśliwie „weksluje“, aż tu pewnego dnia „wykoleił się“!

Było to w kilka tygodni po owym niefortunnym krokiecie. Zawiadowca przyszedł zły do kancelaryi i po przejrzeniu urzędowej korespondencyi, zawezwał pana Alfonsa do siebie.

Fonsio blady jak kreda stanął przed zwierzchnikiem, który spoglądał na telegrafistę dłuższą chwilę, poczem nagle zapytał:

— Ile pan masz lat?

— La—la—la—lat?—powtórzył Fonsio zdetonowany.

— Tak, ile lat? — ponowił z naciskiem zawiadowca.

— Dwadzieścia sześć — odrzekł z rozpaczliwą energią Fonsio.

— I taki stary chłop postępuje, jak... jak głupi dzieciak? — syknął przez zęby zawiadowca, podając telegrafiście urzędowy papier.

Co to jest? — spytał Fonsio zdławionym głosem.

— Proszę głośno przeczytać.,.

Fonsio wziął papier do ręki i skamieniał.

— Czytaj pan..

— Nie mogę...

— To ja go panu przeczytam... proszę posłuchać, co tu naczelnik o panu pisze:

„Do Zawiadowcy stacyi ***

Zakomunikować telegrafiście Pukalskiemu, że skazałem go na dwa ruble kary za uchybienie w służbie i za należność za wyrazy znalezione na jego służbowej taśmie, którą przy niniejszem w oryginale załączam.“

— Ta... taśmę? jaką taśmę? Panie zawiadowco! ja nic nie rozumiem! Co to jest? co to znaczy? — bąkał przerażony Fonsio.

I nagle dreszcz go przeszedł, bo sobie przypomniał poufną rozmowę z kolegą z sąsiedniej stacyi.

Kiedyś, na nocnej służbie, przyszedł mu istotnie dziecinny pomysł do głowy, że począł wybijać na taśmie telegraficznej imię Zuzi, przeplatając je obficie przymiotnikami: słodka, urocza, jedyna, najdroższa...

Kolega z sąsiedniej stacyi pan Andrzej odpowiadał mu, stosując to samo do młodszej córki pana zawiadowcy, Fruzi, gdyż w niej bardzo gustował i tak obu zapaleńcom mile, na wzajemnych wynurzeniach, noc upłynęła, noc, która zawyrokowała o losie Fonsia.

Stał biedny młodzian przed zagniewanem obliczem ojca, nie będąc pewny, co owa taśma zawiera.

— Czytaj pan — rzekł chmurnie zwierzchnik.

Fonsio rozwinął wązki skrawek papieru, spojrzał i — wypuścił go z ręki. Martwe kreski z kropkami najwyraźniej mówiły:

„Najdroższa Zuzia... ukochana moja“!..

— Czytaj-że pan! — zawołał gniewnie zawiadowca.

— Nie mogę! — jęknął telegrafista.

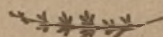
— A córkę kompromitować pan możesz? Tego się doczekałem, żeby mi taki smyk hańbę na siwą głowę sprowadzał?!. Otworzyłem ci dom, serce, a ty mi w ten sposób za to płacisz?!

— Ja kocham pannę Zuzannę...

— Ha! kiedy tak, to ja wam do szczęścia nie będę przeszkadzał — odrzekł uroczystym głosem pan naczelnik...

No i pan Alfons z panną Zuzanną stanęli na ślubnym kobiercu. Surowy zwierzchnik przemienił się w bardzo czułego teścia, tak czułego, że wyrobił zięciowi awans z tranzlokacyą, na jedną z większych stacyi. Wesele było huczne; młodej parze drużbował wielbiciel wdzięków panny Fruzi, kolega i przyjaciel Fonsia, pan Andrzej, który... dziwnym zbiegiem okoliczności, objął po Fonsiu posadę.

Stanisław Maciejewski.





MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

9) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

—*—

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XX.

Synowie nocy.

W ostatnich dniach spadły ogromne masy śniegu i mróz zawitał taki, że ptaki w powietrzu marzły i martwe spadały na ziemię. We wsiach, na granicy rosyjskiej mianowicie, nie można było przejść z chaty do chaty, a wkrótce dały się wszędzie uczuć przykre strony tych zasp śnieżnych.

W chatach zabrakło chleba — drożyzna zapanowała w całej okolicy, a z nią niedostępne jej towarzystwo — głód i choroby. Napady, rabunki i kradzieże mnożyły się z każdym dniem prawie i zdarzało się nawet, że zabijano bogatych właścicieli ziemskich i rabowano cały ich dobytek.

Jednym z odważnych dziedziców, nie lękających się niczego, był pan zamku Osterno, mieszkający o dwie godziny drogi od miasteczka Granica.

Mieszkał on tu dopiero od roku, a poprzedni dziedzic zamku znikł bez śladu.

Powiadano ogólnie, że agenci policyjni zabrali go w nocy, że był nihilistą, i że utrzymywał ścisłe stosunki z hrabią Szalenburgiem, najniebezpieczniejszym wrogiem cara, którego dyrektor policyi Wasyli wynalazł i na Sybir posłał.

U hrabiego Szalenburga znaleziono w podeszwie od buta, listy młodego księcia Dymitra Lanowicza, dziedzica Osterna, i to wystarczyło, aby go w nocy porwać i posłać na Sybir.

Zamek stał się własnością rządu i został tanio sprzedany człowiekowi, który bez wątpienia wielkie policyi rosyjskiej wyświadczył przysługi. Sprzedaż ta była więcej podarunkiem.

Nowym nabywcą zamku był — hrabia Barin!

Pewnego dnia zjawił on się tu z swoją młodą piękną żoną i panował w zamku, jak książę udzielny, obchodząc się z wszystkimi z bezwzględną surowością.

Ludzie, przyzwyczajeni do dobroci i łagodności księcia Lanowicza, znienawidzili go wkrótce.

Dowiedziano się też, że hrabia Szalenburg uciekł po piętnastoletnim pobycie z Syberyi, ale że go po raz drugi schwytano w Petersburgu i że go znowu czekało wysłanie do tego piekła prawdziwego.

Stowarzyszenie tak zwanych „biednych“, które hrabia Szalenburg przed laty założył, istniało potajemnie zawsze jeszcze, i policya, pomimo najusilniejszych starań, nie zdołała wyśledzić członków jego.

O ile nowy dziedzic zamku był znienawidzonym, o tyle uwielbiali wszyscy żonę jego.

W owych okropnych czasach głodu i chorób, była ona istnym aniołem opiekuńczym, gotowa każdej chwili do niesienia pomocy słowem i czynem.

Felicya czyniła to wszystko potajemnie — mąż jej nie wiedział nic o jej dobrych uczynkach, bo inaczej byłby jej surowo zabronił wspomagać biednych.

Wychodziła więc zwykle w nocy okryta ciemnym, skromnym płaszczem, i udawała się do chat wieśniaczych, aby pielęgnować chorych i nasycić głodnych. I dziwna rzecz — mąż jej dowiedział się o tem!

Hrabia zamykał się zwykle wieczorem w swoim pokoju i nie wychodził już wcale.

Zresztą czuła się Felicya dosyć szczęśliwą i spokojną. Ucieszyła się, gdy Ramiro, bo tak go naturalnie zawsze zwała, powiedział jej pewnego dnia w Petersburgu, że kupił zamek Osterno i że zamierza tam z nią zamieszkać! Tęskniła ona oddawna za samotnością — bale i zabawy męczyły ją, i serdecznie dziękowała mężowi, że spełnił najgorętsze jej życzenie.

Że Barin, czyli Ramiro — przeniósł się na to pustkowie, to znowu pochodziło z innego powodu.

Miłość żony była jedyną cnotą, jaką człowiek ten posiadał. Ale teraz dręczyła go szalona zazdrość! Tajemna schadzka Felicyi z baronem Frascati niepokoiła go ciągle jeszcze, pomimo że słyszał całą ich rozmowę i dlatego postanowił usunąć żonę z towarzystwa, aby ją nie narażać na uwielbianie i podziw innych mężczyzn. Przedewszystkiem obawiał się o to, aby Maksymilian nie przybył do Petersburga!

Myśl, że Felicya mogłaby znowu pokochać tego, którego kochała niegdyś, doprowadzała go formalnie do szaleństwa! Z wdzięcznością też przyjął od Wasyla propozycyą kupna zamku Osterno, i czemprędzej przeniósł się z Felicyą na wieś.

Zamek, o kwandrans drogi od wsi położony był bardzo obszerny, ale ciemy i ponury. Służby nie trzymano tam wiele, Barin nie przywiózł nikogo z Petersburga i zgodził tylko we wsi służącą dla Felicyi, kucharkę, lokaja i stangreta. I czasem mijały dnie i tygodnie, zanim Felicya ujrzała innego oprócz domowników, człowieka. Nigdy gość nie zajechał przed rampę zamkową, bo Barin unikał starannie stykania się z sąsiadem — raz po raz tylko przychodził tu wójt gminy, stary, mrukliwy Rosyanin, i z tym odbywały się ważne widać rozmowy — przy zamkniętych drzwiach.

I dziś właśnie kazał się zameldować wójt, podczas kiedy Felicya siedziała z mężem przy kolacyi.

— Zaprowadź go do mego pokoju, rozkazał Barin służącemu.

— Czemu nie każesz mu czekać w sieni? zapytała Felicya. Muszę ci się przyznać, że mi się ten człowiek wcale nie podoba. Wyraz jego oczu taki złośliwy....

— Mylisz się! Rozdzin jest jedynym porządnym człowiekiem we wsi, wszyscy inni są pijakami i leniuchami. On sam utrzymuje jaki taki porządek, gdyby nie on, byłaby ta banda zbójecka dawno już napadła i zrabowała nasz zamek. W Ulczynie napadnięto dwór i zamordowano dziedzica i jego żonę.

— Okropność, zawołała Felicya, pomiędzy jakimi ludźmi my tu żyjemy! Ale to nie ich wina! Gdybyśmy się nimi więcej zajęli, gdybyśmy się starali rozkrzewić oświatę...

— Są to niebezpieczne słowa, przerwał Barin, dobrze, że ich nikt nie słyszy! Można za nie iść na Sybir!

Felicya zadrżała.

Na Sybirze był jej ojciec, który w tej chwili może jęczał z głodu i znużenia i z rozpaczą targał swe kajdany!

— Chłopów trzeba trzymać pod knutem, mówił Ramiro dalej. Zresztą nie potrzebujemy się niczego obawiać. Zamek jest jak forteca, bronić moglibyśmy się tygodnie całe. A teraz muszę iść do wójta — dziś już pewnie nie wyjdę z mego pokoju.

Gdy Barin został sam z Rozdzinem w swej pracowni, zbliżył się prędko do niego i szepnął:

— Przynosicie mi pewnie ważne nowiny, nieprawdaż?

— Musimy iść dziś w nocy, odrzekł równie cicho wójt Rozdzin, otrzymałem wiadomość, że Lajbuś oczekuje nas na granicy. Inne rzeczy też jeszcze muszą dziś być oddane odbiorcom — czekaliśmy dwa tygodnie na to!

— Jeżeli być musi, no, to dobrze! Ale ta sprawa jest niebezpieczniejszą, niż myślicie. Wiem, że straże nad granicą są zdwojone — szukają pilnie i przemytników i fałszerzy pieniędzy. Łatwo być może, że będziemy musieli ciężką i krwawą stoczyć walkę!

— Bez niebezpieczeństwa nie danoby nam tyle pieniędzy, a pan hrabia bierze główną część. Mięso dla pana hrabiego, kości dla mnie!

— Milczcie! krzyknął Ramiro rozgniewany, zapominacie pewnie, komu to wszystko zawdzięczacie! Ja sam dałem wam ten zarobek, nie potrzebujecie głodu znosić tak, jak mieszkańcy innych wsi....

— Co do głodu, przerwał Rozdzin ponuro, to i u nas znają go ludzie! A choroby! — W czternastu chatach leżą chorzy na tyfus!

— Bo zamiast oszczędzać pieniędzy, zanosicie je do karczmy na wódkę. Każę w najbliższym czasie karczmę zamknąć.

— Niech pan hrabia tego nie robi! Wieśniacy niena-

widzą pana! Nie wiedzą oni, że dowódzcą przemytników, ich Baszą, jesteś pan hrabia....

— I nigdy nie mają się o tem dowiedzieć! Wy sam tylko wiecie o mojem podwójnem życiu. Zaufałem wam i płacę za to dobrze, ale wiecie, że dzień, w którym byście mnie zdradzili, byłby waszym ostatnim.

— Wiem, wiem! I przysięgam, że będę milczał!

— Więc mamy iść koniecznie dziś w nocy?

— Musimy. Lajbuś upomina się o dostawienie fałszywych pieniędzy — nasi ludzie we Wiedniu niecierpliwią się. Noc dzisiejsza nadaje się doskonale do naszego planu. Ciemno jak w miechu, a śnieg wskazuje nam drogę, potrafimy ominąć bezpiecznie przepaście....

— Uwiadomiliście wieśniaków?

— Tak, oczekują oni Baszy w ostatniej izbie karczmy, odrzekł wójt. Ale nie zapomnij pan hrabia zabrać z sobą wora z fałszywemi złotemi pieniędzmi. Reszta znajduje się w starej szopie, do której klucz pan masz!

— Dalej więc, idźmy!

— Natychmiast!!

— Czy pódziemy zwykłą drogą?

— Tak, to najpewniejsza! Przejdziemy Wąwóz Piekielny i spotkamy tam, gdzie zawsze Lajbusia z wozem.

— Przebiorę się prędko i za kilka minut jestem gotów, zawołał Barin.

Od czasu, gdy zamieszkał w Osternie, skasował długą brodę i miał teraz tak, jak dawniej wąs tylko, ale obecnie przyprawił sobie rudą brodę i wsadził na głowę taką samą perukę. Twarz posmarował żółtawą maścią, brwi przylepił jasne, i w jednej chwili zmienił się do niepoznania. Wyglądał, jak zwykły robotnik, niemłody już, i pochylony ciężką pracą na słońcu i deszczu. Potem zrzucił wytworne salonowe ubranie i wdział szarą bluzę, szare spodnie i wysokie, aż do kolan sięgające buty.

Na dopełnienie stroju wziął z szafy gruby kij, który jednak nie był kijem, tylko sztucznie złożoną strzelbą, a po zaopatrzeniu się jeszcze w sztylet, był Barin czyli Basza, zupełnie gotów do drogi.

— Ha, ha, zawołał Rozdzin, śmiejąc się, niktby w Baszy nie poznał dziedzica zamku Osterno! A gdzie wory z pieniędzmi? Ile ich jest dzisiaj?

— Dwa wory z złotemi i kista z papierowemi pieniędzmi! Dobrze, że chłopi nie wiedzą, co przenosimy, bo zabiliby nas bez namysłu. Czy pieniądze prawdziwe, czy fałszywe — oni o to nie pytają!

— Oni myślą, że to kawa!

Barin udał się teraz w najciemniejszy kąt pokoju, uklęknął i odsunąwszy dywan, wyjął kawał deski z podłogi a z otworu, jaki się tam ukazał, wyciągnął z przemocą Rozdzina dwa ciężkie wory i małą, starannie owiązaną kistę.

Potem wsunął deskę, przykrył ją dywanem i podniósł się. —

— Idźmy, rzekł.

Barin i Rozdzin podzielili się worami, i wyszli tajnemi drzwiami, o których istnieniu nikt w zamku nie wiedział, a które wiodły wprost do ogrodu.

We wsi panowała głęboka cisza.

Obydwaj wędrowcy szli wprost do karczmy, położonej pod lasem, i weszli natychmiast do małej, ledwie oświetlonej izby, położonej od strony podwórza. Było to zwykłe miejsce schadzki.

W izbie gwarno było i wesoło. Czternastu silnych chłopów, odzianych w długie kożuchy, siedziało za stołem, a próżne butelki i porozlewana wódka świadczyły, że nie szczędzono tego trunku. Dym z fajek zapełniał izbę tak, że nic prawie nie można tu było widzieć — w jednym kącie siedziało kilka podpiłych kobiet i kłóciło się zawzięcie.

Wszystko to razem przedstawiało widok wstrętny — widok nocy, mającej pokryć ciemnością grzech i występek!

Gdy Barin z Rozdzinem weszli do izby, uciszyły się nagle rozmowy i kłótnie.

— Cicho! To on! Basza! wołano w około.

Basza gniewnie zmarszczył czoło.

— Piliście wódkę, krzyknął, uderzając nogą o posadzkę, a jak często mówiłem wam, abyście przed robotą nie pili! Waszem pijaństwem popsujecie wszystko!

— Na świeżem powietrzu wytrzeźwieją zaraz, rzekł Rozdzin.

— Słuchajcie, zaczął teraz Basza nieco łagodniej. Musimy iść teraz! Każdy z was weźmie na plecy tyle, ile unieść może. Pójdziemy przez granicę, przez Wąwóz piekielny, i jeżeli nam się powiedzie, to dostaniecie dużo pieniędzy. Ale po drodze nie wolno wam słowa wymówić! Jedyne jedno słowo, jeden dźwięk głosu może nas zdradzić! Niebezpieczeństwo jest dziś większe, niż kiedykolwiek!

Chłopi przyrzekli ślepe posłuszeństwo.

— Prowadźcie ich, rzekł Barin do Rozdzina, do szopy, niech biorą towary!

Po wyjściu chłopów usiadł Barin na ławie i zamyślił się głęboko.

— Niebezpieczna to rzecz, mówił sobie w duszy. Z jednej strony służę rządowi, śledzę nihilistów, z drugiej zaś szkodzę rządowi rozpowszechnianiem fałszywych pieniędzy i przemycaniem towarów. Gdyby to Wasyli wiedział! A wszystko dla Felicyi! O gdyby ona mnie kochała, gdyby zapomniała Maksymiliana! Czemu on przybrał inne nazwisko, czemu się wyrzekł świetnego stanowiska? Jeżeli go raz jeszcze w życiu spotkam, wtedy — wtedy nie wyjdzie żywym z moich rąk.

Tymczasem czas mijał, a chłopi nie wracali. Barinowi gorąco było w izbie, wsunąwszy więc wory i kistę pod stół, wyszedł na chwilę przed karczmę, aby się nieco ochłodzić.

— Śpij najdroższa, szepnął, spoglądając na widniejące w dali wieże zamku, śpij spokojnie! Jeszcze tylko kilka lat, a zbiorę tyle majątku, że nie będę potrzebował prowadzić dalej takiego życia. Pojedziemy do Ameryki, i tam....

W tej samej chwili ukazała się o kilka kroków przed nim jakaś postać kobieca.

Barin skoczył w bok i ukrył się za drzewo, wytężając wzrok, aby poznać kobietę.

Nagle zadrżał i ledwie zdołał powstrzymać okrzyk przerażenia.

Była to Felicya!

Młoda kobieta przeszła szybko koło niego, i zwróciła się na drogę, wiodącą do lasu. Tam stała tylko stara, nawpół zapadła stodoła i mała chata, potem wieś kończyła się już zupełnie.

Owa chata, mała i nędzna, należała, jak Ramiro wiedział, do jakiejś starej kobiety, zwanej we wsi cyganką Martą. Mieszkała ona tu już od wielu lat sama, a utrzymywała się z kładzenia kart i gotowania rozmaitych leków. Wieśniacy uważali ją za bardzo mądrą i cenili ją wyżej, niż wszystkich doktorów.

Ramiro szedł, jak cień, za swoją żoną, a w głowie jego przesuwały się tysiączne, dzikie i rozpaczliwe myśli. Nie wątpił teraz już wcale, że Felicya, którą ubóstwiał, zdradza go niegodnie.

Teraz zapukała Felicya dwa razy do drzwi chaty, w maleńkiem okienku błysnęło światło i Marta stanęła na progu. Felicya weszła do sieni i drzwi zamkły się za obydwiema kobietami.

Ramiro chciał biegnąć za żoną i chociażby przemocą wejść do chaty, ale w tejże chwili dało się słyszeć przeciągłe wołanie puszczyka.

Sygnał przemytników!

Wobec tego nie można było czekać dłużej, każda stracona chwila zwiększała niebezpieczeństwo. Z cichem przekleństwem podniósł Barin pięść w kierunku chaty i wrócił szybko do karczmy.

* * *

Kilka minut po wyjściu Barina z karczmy, ukazała się w oknie izby przemytników głowa Rozdzina.

— Baszo, zawołał przytłumionym głosem, Baszo, słuchaj, muszę ci coś powiedzieć!

Nie otrzymawszy odpowiedzi, popchnął na wpół przymkniętą szybę i wskoczył do izby.

Tutaj spostrzegł najpierw wory i kistkę z pieniędzmi, i szalona chciwość zbudziła się w jego sercu.

Ile mógł dziś zarobić? Najwyżej sto nędznych rubli — dawniej nie miał wprawdzie tyle przez cały rok, ale żądza używania wszelkich przyjemności świata wzmagała się obecnie z każdym dniem prawie.

Sam Barin powiedział mu, że w kistce są storublówki papierowe, a i złoto, chociaż również fałszywe, nęciło blaskiem.

Co szkodziło, że wszystko było fałszywe? Jeżeli Barin mógł to zamienić na prawdziwe, to i Rozdzin tyle ma rozumu. I myśląc tak, otworzył jeden z worów, i zanurzył obie ręce w złocie.

Ach, jaka rozkosz!

Potem uchwycił kilka garści złota, wsypał je do dwóch blaszanych naczyń, stojących na stole i związawszy znowu worek, położył go tak, jak dotychczas leżał. Teraz zabrał się do kisty z papierowemi pieniędzmi.

I tutaj znajdowały się znaczne sumy. Rozdzin wziął kilkanaście banknotów, zawiązał je w chustkę i ustawił wszystko tak, że nikt nie byłby się domyślił kradzieży.

Ale gdzie ukryć skradzione złoto i banknoty?

Rozdzin i na to miał radę.

Nie tracąc czasu, wyskoczył oknem, pobiegł pędem na cmentarz, leżący blisko karczmy, i na grobie, znajdującym się na małem wywyższeniu, zaczął nożem wygrzebywać dół w zmarzniętym śniegu. W dół ten włożył naczynia ze złotem i banknoty, zawinięte w chustkę, i zasypał wszystko śniegiem.

Wszystko to nie trwało dłużej nad dziesięć minut.

— Teraz jestem bogatym, szepnął zadowolony. Czem jest hrabia Barin? Takim samym, a nawet gorszym jeszcze złodziejem, niż ja! A on siedzi w zamku — — — ale czemu i ja nie miałbym mieszkać w zamku? Trzeba sobie tę rzecz rozważyć! Poszedł Lanowicz na Sybir — to i Barin tam iść może!

Zajęty temi myślami, wrócił Rozdzin do szopy i pomógł przemytnikom w obładowywaniu się towarami. Każdy musiał wziąść tyle, ile zdołał unieść.

Im więcej przeniesiono przez granicę, tem większy był zysk.

Ale gdzie się podział Basza? Chłopi dopytywali o niego i zaczynali się niecierpliwić.

Bez Baszy nie byliby poszli, chociażby im kto tysiące ofiarował! On jeden znał przejścia w skałach, on jeden tylko mógł ich bezpiecznie prowadzić! Dziwne oni pod tym względem mieli zaufanie do człowieka, którego znali o tyle, że zjawiał się, gdy chodziło o robotę, a znikał bez śladu, gdy robota była skończoną. Nie wiedzieli nawet, jak się nazywa, bo miano Baszy dali mu sami!

Rozdzin dał teraz znak umówiony, naśladując głos puszczyka, i kilka minut później stanął Basza, zmęczony biegiem, przed szopą.

— Najwyższy czas, zawołał Rozdzin. Za godzinę wejdzie księżyc, a wtedy może być źle z nami.

— Co, ty mi chcesz dawać jakieś nauki? krzyknął Barin rozgniewany. A gdybym w jasny dzień szedł z wami przez granicę, to musieliby iść wszyscy ze mną i biada temu, ktoby się odważył słowo wymówić! Zastrzeliłbym go, jak psa! Pamiętaj o tem, Iwanie Rozdzinie!

Potem wszedł do izby, dał jeden wór z złotem Rozdzinowi, sam wziął drugi i kistę z banknotami, i wszyscy ruszyli. Rozdzin szedł pierwszy — Barin obok niego.

Wkrótce zaciężył mu wór ze złotem.

— Ty możesz nieść jeszcze kawę, rzekł do jednego z młodszych przemytników, podając mu worek, to nie jest ciężkie!

Chłopi zwrócili się teraz na drogę, wiodącą do lasu i przesli koło chaty cyganki. W izbie było jasno, ale nie można było zajrzeć przez okno, oblepione na wewnątrz papierem. Barin namyślał się przez chwilę, czy nie zaniechać całej dzisiejszej wyprawy i wejść do chaty — ale przypomniał jeszcze w porę, że nie może łamać słowa wobec chłopów, bo od tego zależała cała jego egzystencya.

Nie, nie mógł ich zdradzać!

— Dalej, zawołał ostro, a w duszy rzekł sobie:

— To, co uczyniła dziś, uczyni i jutro, będę więc miał czasu dosyć. Biada jej, jeżeli stała mi się niewierną!

ROZDZIAŁ XXI.

Śmierć.

Józefina przerażona wypadkami, których świadkiem była w domu żyda Gregorowicza w Petersburgu, postanowiła sobie szukać czemprędzej innego mieszkania. Dręczyła ją też już od dawna myśl, że żyje wyłącznie z łaski Felicyi i nie chciała nadal przyjmować od niej wsparcia, które uważała za jałmużnę.

Pragnęła przecież zasięgnąć jej rady, w jaki sposób szukać utrzymania w nieznanem sobie mieście, ale daremnie czekała jej przybycia. Nie wiedziała ona, że Barin czuwał pilnie nad każdym krokiem Felicyi i uniemożliwiał jej tajemne wyjście, a nawet listy i pieniądze, które Felicya posyłała Józefinie, nie dochodziły do rąk jej dlatego, że Gregorowicz brał wszystko sam i zanosił dyrektorowi policyi. I chociaż Wasyli zatrzymywał tylko listy, a pieniądze kazał wręczać Józefinie, to Gregorowicz zapominał zawsze o tem, i biedna Józefina nie dostawała ani grosza. Nie przeczuwała też wcale, że śledzono ją dniem i nocą.

Wasyli trwał ciągle jeszcze w mylnem przekonaniu, że Józefina jest córką hrabiego Szalenburga, swego śmiertelnego wroga, i czekał tylko na stósowną okazyą, aby ją zgubić, tak, jak zgubił jej ojca.

Józefina tymczasem, widząc, że mała jej gotówka kończy się, umieściła w gazetach anons, w celu szukania służby jako pokojówka lub piastunka i na szczęście prosiła o odpowiedź poste restante pod oznaczonemi literami. Tym sposobem nie dowiedział się o niczem ani żyd, ani Wasyli.

Ale nadzieja zawiodła ją. Minął dzień jeden i drugi, Józefina chodziła kilka razy na pocztę i żadnego listu nie otrzymała.

Trzeciego dnia, gdy znowu urzędnik na poczcie odpowiedział jej krótko „nie ma“, wróciła biedna do domu, i oparłszy głowę na rękach, głośnym wybuchnęła płaczem.

Nagle otworzyły się drzwi, które dziś zapomniała zamknąć, markiz de Laroche wszedł cicho do pokoju.

— Czemu pani płacze? — szepnął, dotykając jej ramienia. Może ja panią będę mógł pocieszyć!

— Kto panu dał prawo wchodzenia do mego pokoju bez pozwolenia, zawołała Józefina oburzona, zrywając się z krzesła.

— Kto mi dał prawo? Nasze sąsiedztwo, smutek pani — słyszałem bowiem twój płacz — no, i piękność twoja....

— Milcz pan! Nie lubię gości nieproszonych, dlatego...

— Oho, nie tak ostro! rzekł markiz dumnie. Nie wiesz pani kto jestem? Jestem markiz de Laroche, i należę do jednej z najstarszych rodzin we Francyi!

— Może być, ale to mi zupełnie obojętne.

— Obrażasz mnie pani!

— Nie, nie, proszę tylko, opuść pan moje mieszkanie!

— A gdybym chciał tu zostać?

Józefina zbliżyła się do okna i otworzyła je szybko.

— W takim razie zawołam o pomoc, rzekła spokojnie, i wątpię, czyby to panu było przyjemnie. Gdyby tu policya weszła, kto wie, coby się z panem stało!

Markiz zbladł.

— Więc pani znasz moją tajemnicę? szepnął.

— Tak, zawołała nierozważnie, spoglądając mimowoli na otwory we drzwiach, łączących ich pokoje.

Markiz spostrzegł to.

— Pożałujesz pani swej ciekawości, syknął, i wybiegł z jej mieszkania.

Józefina odetchnęła. Ale teraz trzeba jej było uciekać ztąd jak najspieszniej, inaczej była zgubiona. Wszakże Gregorowicz był wspólnikiem markiza. Zbierając szybko wszystkie swoje rzeczy, wrzucała je do małego kuferka, i już się zabierała do ucieczki, gdy usłyszała żyda wchodzącego do pokoju markiza.

— Boże, zmiłuj się nademną, szepnęła, wysuwając się cichutko do sieni.

Ale drzwi jej pokoju skrzypnęły lekko i szelest ten zwrócił uwagę Gregorowicza.

— Ona ucieka! krzyknął przeraźliwie, markizie, goń ją! Jeżeli ucieknie, to po nas! Goń ją!

Józefina biegła jak szalona, zeskakując po kilka schodów na raz, markiz jednak dogonił ją wkrótce. I już wyciągał ręce, aby ją pochwycić, gdy wtem przyszła jej zbawienna myśl do głowy. Szybkim ruchem rzuciła nędznikowi kuferek pod nogi, i markiz potknąwszy się o niespodziewaną przeszkodę, upadł jak długi, uderzając głową o grubą poręcz schodów.

Teraz nie groziło jej niebezpieczeństwo, ale pomimo to biegła Józefina bez tchu jeszcze przez kilka ulic, dopóki nie czuła się zupełnie pewną, że jej nikt nie goni.

Przedewszystkiem podziękowała Bogu gorącą modlitwą za wybawienie jej z niebezpiecznego położenia, a potem zaczęła się namyślać nad tem, co teraz ma uczynić! Nie miała ani swoich rzeczy, ani grosza pieniędzy, i stała zupełnie opuszczona w ogromnem obcem mieście. Gdyby nie ufność w Boga, byłaby rzeczywiście mogła zwątpić teraz o wszystkiem!

Najpierw poszła na pocztę, mając nadzieję, że w tym

czasie nadeszła może jaka odpowiedź, ale i tym razem usłyszała tę samą odpowiedź:

— Nie ma nic!

Józefina odwróciła się, aby ukryć łzy i wyszła z gmachu pocztowego.

— Dokąd pójdę? pomyślała z rozpaczą.

Na dworze ciemno już było, a zimny wiatr rzucał w twarz śniegiem i mroził oddech chodzących po ulicach.

Józefina drżała z zimna. Otuliła się mocniej płaszczem i chodziła po ulicach bez celu, a myśl, że teraz będzie musiała przepędzić noc pod gołem niebiem, przejmowała ją nieopisanym strachem.

Nagle stanęła przed jakimś małym, schludnym domkiem i mimowoli przeczytała napis, znajdujący się nade drzwiami.

— Przytulisko dla dziewcząt, szukających miejsca.

— Dzięki Ci Boże, zawołała, nową ożywiona nadzieją i zadzwoniła.

Odźwierny zaprowadził ją natychmiast do przełożonej zakładu, poważnej matrony, i ta przyjęła ją bez wszystkiego na noc. Józefina czuła się nad wyraz szczęśliwą!

Po obfitej i smacznej kolacyi wskazano jej miękkie, czyste łóżko, i tak przespała całą noc, budząc się nazajutrz pokrzepiona i wzmocniona na ciele i na duszy. Teraz chodziło o wyszukanie sobie służby.

Ponieważ nie znalazła dotąd miejsca bony i pokojówki, przeto postanowiła obecnie przyjąć każde miejsce, jakieby się jej nadarzyło, chociażby nawet pomywaczki w wielkim domu. Powiedziała to przełożonej, dodając otwarcie, że papierów i świadectw nie ma, i że kto ją będzie chciał zgodzić, musi uwierzyć jej słowu, że jest porządną i uczciwą dziewczyną.

— Poczciwy wyraz twarzy, rzekła przełożona, ma nieraz więcej wartości, niż świadectwa. Ja wystaram ci się o miejsce, bo mi się podobasz.

Tego samego dnia po obiedzie zgodziła ją pani Branek, żona radcy policyjnego, i zabrała ją zaraz z sobą.

Nie dobra to była służba. Pani radczyni była kłótliwą, podejrzliwą i przebiegłą kobietą, i gniewała się sama na siebie, że przyjęła tak piękną dziewczynę do swego domu. Pan radca bowiem lubił ładne twarze i wcale się z tem nie taił, że Józefina mu się podoba!

Państwo Branekowie mieli czworo dzieci, szesnastoletnią córkę, nieznośną, zarozumiałą i dumną dziewczynę, nie uważającą służącej za człowieka, dwóch synów, dzikich, rubasznych, nieokrzesanych chłopaków, tłuczących, co im pod rękę wpadło, i zwalających zawsze winę na sługę, i małą, czteroletnią dziewczynkę, Olgę, na wpół kalekę, nie umiejącą nawet jeszcze dobrze chodzić.

Tem biednem, zaniedbanem dzieckiem zajęła się Józefina z istnie anielską troskliwością i czułością. Kąpała je codziennie, nacierała wzmacniającemi spirytusami małe, słabe nóżki i pamiętała o tem, aby regularnie dostawało mleko i pożywne rosołki. Olga pokochała też niezmiernie Józefinę i najszczęśliwszą była wtenczas, gdy siedziała w kuchni. Branek pracował w biurze dyrektora Wasyla.

Razu pewnego zapomniał zabrać śniadania z sobą i Józefina miała mu je zanieść. Uczyniła to niechętnie, bo unikała radcy, jak mogła, nie chcąc wzbudzać zazdrości swej pani, ale dziś musiała iść tam na wyraźny rozkaz radczyni.

Radzca był sam w pokoju.

— Poczekaj, rzekł uprzejmie, gdy zjem, zabierzesz zaraz koszyk i butelkę ze sobą.

Józefina stała przy drzwiach.

— No, a teraz, zawołał Branek, skończywszy śniadanie, pocałuję cię! Będzie mi to lepiej smakować niż wino.

— Powiedziałam panu raz już, szepnęła Józefina, że wolę umrzeć, niż....

— Eh, głupstwo, moje dziecko! przerwał, zbliżając się do niej i biorąc jej rękę. Od pocałunku nikt jeszcze nie umarł.

— Daj mi pan pokój! Zawołam o pomoc!

— Owszem, ale nikt cię nie usłyszy! Dyrektor, który pracuje w przyległym pokoju, wyjechał przed chwilą!

Józefina wyrwała rękę i rzuciła się ku drzwiom, ale zanim zdołała uchwycić klamkę, otworzono drzwi, i sam dyrektor Wasyli wszedł do pokoju.

— Ach, przeszkadzam panu zapewnie, rzekł, śmiejąc się szyderczo. Wróciłem po książkę — usłyszałem wołania...

— Ekselencyo, jąkał radca, ja tylko.... ja chciałem.... myślałem....

— Już dobrze! Kto jest ta dziewczyna? zapytał Wasyli, patrząc uważnie na Józefinę.

Twarz jej wydawała mu się znajomą.

— To nasza służąca! Przyniosła mi śniadanie! Weź koszyk i odejdź!

Józefina nie dała sobie tego dwa razy powiedzieć. Zabrała czemprędzej koszyk, butelkę i serwetę i uciekła.

Ledwie się drzwi za nią zamknęły, zbliżył się Wasyli do radcy i szepnął cicho:

— Zapomnę o tem, co wchodząc tu widziałem. Ale żądam prawdy. Czy ta dziewczyna służy rzeczywiście u pana?

— Doprawdy! Żona moja zgodziła ją z „Schroniska", i dotąd nic jej zarzucić nie można.

— Jakie podała panu nazwisko?

— Józefina Neipert.

— Aha! Wiesz pan, kto u was służy? Córka osławionego nihilisty, hrabiego Szalenburga!

Radca zsiniał.

— Boże! zawołał. Córka tego nihilisty! U mnie! W moim domu! W domu wiernego sługi cara! Ach!

— No, no, nie bój się pan, wiem, że jesteś wiernym sługą cara, i że nie stoisz w żadnej styczności z nihilistami! Ale dziewczynę tę trzeba usunąć. Jest to bezwątpienia niebezpieczna osoba!

— Uczynię wszystko, co mi Ekselencya rozkażesz, szepnął radca pokornie.

Wasyli powiedział mu po cichu kilka słów i plan był ułożony. Potem zapiął futro.

— Urządź więc pan zręcznie tę rzecz, dodał głośno, a nagroda nie minie cię. Może jaki order — lub parę tysięcy rubli — rozumiesz pan? Nieprzyjaciół naszego cara musimy do szczętu wytępić!

*
* *

Nazajutrz rano kąpała Józefina jak zwykle małą Olgę. Dziecko patrzało dziś na nią uważnie i w końcu zaczęło płakać.

— Co ci to, kochanie? zapytałała Józefina serdecznie

— Ach, ja cię tak kocham, — odrzekła mała Olga, — a tyś niedobra! Ukradniesz mamie brylanty! Papa rozgniewa się i pośle cię do więzienia, ach ja się tak boję!

Józefina skamieniała.

— Co mówisz, Olinko! — zawołała. — Przecież brylanty mamy są zamknięte w szafie!

— Tak, ale dziś w nocy zaniósł je papa do kuchni i włożył je w twoją chustkę. Papa mówił, że ty je musisz ukraść! Ja nie spałam i słyszałam wszystko! Mama nie chciała, ale papa powiedział, że tak być musi.

Józefina poznała teraz, że miała się stać ofiarą haniebnego spisku. Otarła i ubrała dziecko, a potem otworzyła mały koszyk, stojący w kuchni, i wyjęła z niego chustkę, którą miała na sobie, uciekając z domu żyda. I rzeczywiście! Znalazła tu, zawiniętą w róg chustki, broszkę i kolczyki brylantowe radczyni.

Nieszczęśliwa kobieta gorżkiemi zalała się łzami.

Czemu ją ludzie tak prześladowali? Za co? Przecież ona nikomu nie wyrządziła krzywdy, a sama nie zaznała dotąd ani szczęścia, ani spokoju, za co Bóg ją tak karał?

Płacząc, wyjęła brylanty i zawinęła je w kawałek papieru, na którym następujące napisała słowa:

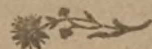
— Nie pozwolę robić z siebie złodziejki, i opuszczam ten dom czemprędzej. Niech wam Bóg wybaczy to złe, jakie względem mnie popełniliście! Anioł ocalił mnie!

Potem uściskała Olgę i wzięła to, co sobie w czasie służby kupiła, trochę bielizny i parę trzewików, i wyszła, nie wiedząc znowu dokąd się udać!

Zdawało jej się, że zrobi najlepiej, opuszczając raz na zawsze nie tylko Petersburg, ale i Rosyą. Miała tyle pieniędzy, że mogła do granicy koleją wyjechać, więc też postanowiła natychmiast zamiar swój wykonać. Nie mając jednak paszportu, chciała w nocy potajemnie przejść granicę — była to jedyna możność powrotu do Austryi.

Odważna z ufnością w Bogu, szła teraz z ostatniej stacyi kolejowej, pieszo, a że noc była ciemną i zimną przeto miała nadzieję, że żaden z żołnierzy, stojących na granicy, nie zobaczy jej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Do Monako!

„Do Monako! tam idźcie!!! — to słowa Bis-
[marka...
Tam jest popisu miejsce dla was — dla Polaka.
On nas znał — ha ha — niech nikt nań za to
[nie sarka;
Prawdę rzekł! tłumy naszych spieszą do Monaka,
Jak do Mekki!!! Niech żyje sprawa narodowa!!
Polak wciąż o nią walczy, choć dziś nie przy
[szabli.
Byle tam zagranicą brzmiała polska mowa:
Dosyć splendoru! chluby! — a resztę — pal
[djabli!!!

Co tam, że bieda w kraju! co tam, pruskie
[szkoły,
Co tam, że tyle u nas spraw leży odłogiem,
Że o granit pękają jednostek mozoły,
Że głód i niedostatek, ruina za progiem.
Wszystko furda! pal djabli! — eh! jakoś to
[będzie!
Mina gęsta! szlachecka już fantazja taka,
Zmienność Fortuny trzeba mieć zawsze na
[względzie-
Gotowa się uśmiechnąć, więc: jedź do Monaka!

Głupstwo Wrześnie i cała ta pruska *hakata*,
Mniejsza, że innych trochę sekują i gniotą,
Że wróg nas z czci odziera, że nami pomiata!
Ja na to nie poradzę — jestem patryotą,
Ale takim, do innych tu celów stworzony,
Do wyższych szlachetniejszych, do wznioślej-
[szej mety.
By ją zdobyć — u obcych poszukam mamony,
Więc spieszę do Monako! do kart! do rulety!

Do Monako! a żywo, co rychlej, co prędzej!
Niech się majątki kurczą, topnieją fortuny!
Niech wszystko na psa schodzi, niech ginie, mrze
[z nędzy,
My sami zmarłej Matce uszyjem całuny.
Własne gniazda i znojem ojców zlane ziemie,
Niech idą w obce ręce, zbogacą Prusaka,
Niech szczeźnie, zginie marnie całe nasze ple-
[mię,
Byleśmy tylko mogli — jechać do Monaka!!!

Śmigus.

Wiadomości.

— **Sprawa wrzesińska.** Skazana na $2^1/_2$ roku więzienia *Nepomucena Piasecka*, matka pięciorga dzieci i żywicielka swej 80-letniaj matki, wniosła o ułaskawienie. Z innych skazanych wnieśli: *Balcerkiewicz*, zasądzony na 1 rok i 3 miesiące, i *Ziętek*, zasądzony na 1 rok więzienia, o odnowienie postępowania sądowego. Sprawę Ziętka prowadzi mec. *Woliński*, sprawę Balcerkiewicza adwokat Türk z Gniezna.

Spodziewać się teraz należy wyznaczenia terminu przeciw Kantorczykowej, której sprawę wyłączono na razie z procesu, ponieważ podczas jego trwania powiła dziecko.

— **Wniosek o odszkodowanie.** Z Wiednia donoszą, że artyści-śpiewacy panowie Tarnawski i Kohmann oraz baletmistrz p. Doliński, poddani austryaccy wydaleni z Poznania i z Prus, wnieśli do austro-węgierskiego ministra spraw zagranicznych hr. Gołuchowskiego podanie, prosząc go o wyjednanie im u rządu pruskiego odszkodowania za straty, jakie ponieśli skutkiem wydalenia.

1500 marek kary! Świeżo w Berlinie przed sądem ławniczym na Moabicie stawał odpowiedzialny redaktor „Gońca Wielkopolskiego“ p. Jakób Klonowski, oskarżony przez hakatystów o obrazę, jakiej się dopatrzono w artykułach: „W górę serca“ w nr. 244 z 1 listopada r. z. i „Wyższa kultura niemiecka“ w nr. 238 z dnia 25 października r. z.

Oskarżenie wnosił znany radzca p. Wagner, główny przywódzca hakatystów. P. Klonowski bronił się sam. P. Wagner w swojem oskarżeniu wytoczył największą kolubrynę, jaką zwykli hakatyści wojować. Poruszył sprawę wrzesińską, która graniczyć miała rzekomo aż ze zdradą stanu, mecenasa p. Wolińskiego, dzielnego obrońcę naszego nazwał głównym przywódzcą w tej sprawie, o Towarzystwie pomocy naukowej imienia Karola Marcinkowskiego mówił także jako o instytucyi rzekomo wrogiej dla niemczyzny. Opowiadał dalej, iż Polacy nie lękają się niczego, i dlatego przeciw nim należy wystąpić całą siłą i użyć najostatniejszych środków prawnych. Z tych powodów wniósł o najwyższą karę więzienną, bo kary pieniężne nie skutkują; gdyż na kary pieniężne mają Polacy rozmaite fundusze, n. p. fundusz wrzesiński, z których za redaktorów płacą się kary — i ztąd redaktorzy występują tak ostro i nacierają na niemczyznę.

P. Klonowski wniósł o odroczenie procesu, aby się módz postarać o dowody stwierdzające prawdę zawartą w odnośnych ustępach.

Sąd ławniczy po krótkiej naradzie odrzucił wniosek p. Klonowskiego i skazał go na 1500 m. kary. Jest to najwyższa kara przewidziana odnośnemi paragrafami,

P. Klonowski zaapeluje do wyższej instancyi.

— **Pan I. Berski**, członek sceny poznańskiej, prosi nas o następujące sprostowanie w imieniu swem i współpodpisanych kolegów:

„Sekretarz teatru, p. Czternasty, wystąpił publicznie przeciwko mnie i moim kolegom w celu zdyskredytowania nas w opinii publicznej. Nieprawdą jest, że podszywamy się w podróżach naszych pod Teatr poznański. Na wszystkich afiszach i w komunikatach do gazet tytułujemy się zawsze jako artyści Teatru poznańskiego, do którego tytułu mamy zupełne prawo, a nie jako „Teatr poznański.“ Stwierdzam więc niniejszem, że sekretarz teatru, p. Czternasty, dopuścił się był w swej elukubracji nieprawdy, szarpiąc moje nazwisko w sposób bardzo nietaktowny.

I. Berski, L. Dybizbański, A. Kramarzewski, St. Michałowicz,
artyści teatru poznańskiego.“

— **Rodak nasz** p. W. Wojciechowski nabył w mieście naszem na własność drogeryę po p. M. Smiśniewiczu przy ul. Wodnej nr. 25 i takową nadal pod firmą „W. Wojciechowski. — Drogerya pod gwiazdką“ prowadzić będzie. Pan Wojciechowski jako rutynowany kupiec i dzielny fachowiec zaopatrzył swój skład tylko w najprzedniejsze towary, zakupione z pierwszorzędnych fabryk. Polecając rodaka naszego względom Szanownych Czytelników zasyłamy mu staropolskie „Szczęść Boże!“

— **Zwracamy** uwagę na anons pp. *Maryana Kratochwilla* i dr. *Stanisława Pernaczyńskiego*, którzy założyli w „Domu Przemysłowym“ pod firmą „*Kratochwill i Pernaczyński*“ interes bankierski. Nowe to przedsiębiorstwo polskie — pierwsze w swoim rodzaju w rękach prywatnych — a przy-

szłym zakresem działalności swojej odpowiadać mające istniejącym dotąd jedynie w mieście naszem żydowsko niemieckim bankom kupieckim, polecamy łaskawej życzliwości kół interesowanych.

— **Malarze** i strycharze poznańscy podjęli dnia 20-go b. m. na nowo pracę, ponieważ pracodawcy zgodzili się na ich żądania co do podwyższenia zarobku, podwyższywszy jednocześnie o 15 procent ceny za wykonywane prace.

— **Brodnica.** Właściciela drogeryi pana K. Koczwarę, oskarżonego, że na szyldzie przed drogeryą kazał wypisać „Kazimierz“, a nie „Kasimir“, sąd ławniczy uwolnił, uzasadniając wyrok swój tem, że panu Koczwarze, który się urodził w roku 1862, wolno pisać imię swoje po polsku, bo w księgach kościelnych po chrzcie zapisano imię jego „Kazimierz“ i cały dokument, dotyczący chrztu pana Koczwary, spisany jest po polsku.“

— **Spis Polaków.** W Bochum, jak donosi „Wiarus“, chodzą obecnie policyanci od domu do domu i spisują Polaków, pracujących w poszczególnych fabrykach i innych przedsiębiorstwach. Zapisują imię, nazwisko, stan, miejscowość, ulicę i numer.

— **Zarząd Nowego Browaru** w Grodzisku E. G. m. b. H. wyrestaurowawszy browar, począł słód wyrabiać z pszenicy najwyborniejszej, a za kilka tygodni będzie **pierwsze** piwo nasze gotowe, które już dziś zamawiane być może u członka naszego p. Konst. **Styczyńskiego** w Grodzisku.

Wśródcześnie trzeba było kupić oprócz pszenicy nowe dwie kadzie, a stare powyporządzać, zakupić kilkanaście set pudeł i kilkadziesiąt tysięcy butelek do piwa i niejedno potrzebne do browaru nabyć, przez co wyczerpnięto zasoby pieniężne. Ze względu na to, iż suma na rozpoczęcie wyznaczona, a 45 tysięcy marek wynosząca, przez udziały dotychczas nie pokryta, upraszamy te osoby, które w przedsiębiorstwie tem udział brać myślą, aby niezwłocznie udziały zakupiły w Banku Parcelacyjnym w Poznaniu, ulica Wiktoryi Nr. 12, gdzie mamy swe oszczędności złożone. — Udział jeden wynosi 50 m. a jeden członek może mieć najwięcej 100 udziałów. Adresować prosimy: **Bank Parcelacyjny** Posen — Victoriastrasse 12 z dopiskiem na kuponie: **na udział Nowego Browaru w Grodzisku.**

Skoro piwo pierwsze rozpoczniemy rozsyłać, ogłosimy to w pismach i mamy nadzieję, że każdy z nas będzie w lokalach żądał piwa z Nowego Browaru w Grodzisku Maxymilian Koschmider. Ignacy Sikorski. Konstanty Styczyński. Adam Dybysławski w Grodzisku. Dr. Broekere Bolesław, prezes Rady Nadzorczej w Poznaniu.

— **Znin.** Na odbudowanie wieży kościoła parafialnego w Żninie złożyli w dalszym ciągu: pp. M. Cegielski z Witkowa 3 mrk., za pośrednictwem p. S Stawińskiego z Brodnicy w Pr. Zach. 4 15 mrk., Fr. Mysłowiecki z Tupadeł p. Kcyń 50 fen., J. Skweres i F. Wróbel z Karmina po 1 mrk., B. Hozakowski z Torunia 5 m., F. Janicki ze Żnina 3 m., H. Kubacki z Wrocławia 5 m, J. Stark z Mogilna 10 m., J. Kliszewska z Juńcewa 1,50 m, Prof. dr. Łazarewicz z Poznania 3 m, P. Józewicz z Krotoszyna 5 m, S. Laurentowski z Kórnika 10 m., A. C. i M. N. po 3 m., A. Wiatr z Gliwic m., za pośrednictwem J. Pluty z Przyje-5rza 12,10 m., Anna Złżarska z Słupów 2 m., jako pierwszą ratę. — „Bóg zapłać!“ Dalsze składki z wdzięcznością przyjmuje

X Władysław Jasiński,
Administrator.

Ps. Na ogólne życzenie kazałem zrobić większą ilość fotografii ołtarza z cudownym obrazem Matki Bozkiej Żnińskiej. Fotografie są wielkie i bardzo pięknie wykonane. Czysty dochód przeznaczony na odbudowanie wieży. Każdy, kto nadeśle odpowiednią ofiarę, otrzyma tę piękną pamiątkę Adres bez dodatków: „Władysław Jasiński, Żnin.“

— **Wschowa.** Srebrne wesele obchodzić będzie w mieście naszem dnia 29-go maja r. b. wielce szanowany i powszechnie lubiany współobywatel nasz p. Julian Michalski, rendant powiatowy ze swą małżonką Walentyną z domu Raiman.

Oby Najwyższy pozwolił im i nadal cieszyć się błogiemi owocami swego dotychczasowego pożycia familijnego i doczekać się pociechy ze swych dzieci, które na dobrych i pożytecznych obywateli wychować uważali zawsze za swe największe zadanie.

W imieniu Przyjaciół,
W. S.

Górnik.

Górnik ma wypłatę, wesoła nowina —
Cieszy się robotnik i cała rodzina,
Gdy przyjdzie piętnasty, to jest dzień wypłaty
Myśli sobie górnik: dziś będę bogaty!
Ale on niestety, czasem się zawiedzie,
Bo i po wypłacie nie da rady biedzie.
Gdy przyjdę do domu, żona z twarzy czyta,
„Czemuś taki smutny?“ zaraz mnie się pyta.
A ja nic nie mówię, tylko jeszcze milczę,
Przystępuję bliżej, srebro na stół liczę.
Czterdzieści pięć marek jest zarobek cały,
Brakowało mi szycht, dlatego tak mały.
„Dla Boga, mój mężu, to nam nie wystarczy,
To ma być zarobek twej miesięcznej pracy?“
„Uspokój się żonko, nie moja to wina,
„Iż pięć szycht w tygodniu, to ci nie nowina,
„Trzy miałem zmazane, bo jestem już stary
„I coś się zepsuło, nie wydałem miary.“
„A jakoż z podatkiem mężulku kochany,
„Roczny dochód przecie tysiąc szacowany,
„Dzieci nasze bose, odzieży nie mają,
„U kupców dość długu na kredyt nie dają.
„Jak tak dalej pójdzie, nic nie oszczędzimy,
„I na starość w biedzie wielkiej żyć będziemy.“
„Uspokój się, żonko, posłowie już radzą,
„Pewnie dla nas lepsze prawo zaprowadzą.“

Jan Świtalski, górnik z Marten.

Od Redakcyi.

Panu St. K. w Rawiczu. — Poczta od nas regularnie „Pracę“ dostaje i jest także zobowiązaną Panu na czas takową dostawić Na nieregularności zechce się Pan u naddyrekcyi poczty w Poznaniu zażalić.

Panu P. w Dobieszewicach. — „Pijaczka“ wyjdzie w osobnej odbitce. Inne książki, które nakładem naszym wyszły, podane w ogłoszeniu

Panu Z. W. w Śremie. — Przyznajemy Szanownemu Panu racyą, ale lepiej „takich brudów“ nie prać publicznie. Dosyć nas zohydzają obci, zresztą „zły to ptak co własne gniazdo kala.“ — Dziękujemy za łaskawą pamięć.

Panu Stanisławowi M. w K. — 1) Józef Kościelski w Miłosławiu (Miloslaw Pr. Posen) 2) Książę Ferdynand Radziwiłł w Antoninie (Antonin Pr. Posen).

Brzydkonosej. — Adresu fabrykanta od przekształcania brzydkich nosów nie znamy. Wątpimy nawet bardzo czy istnieje taki „majster“ — chyba na księżycu....

Nr. 100 Kobylin — Skutkiem przebudowy i translokacyi redakcyi, korespondencya Jego dopiero w tych dniach dostała się nam do rąk, a ponieważ już *„post festum“*, więc użytku z niej zrobić nie możemy. Za pamięć Bóg zapłać!

Panu Janowi Fr. w Sandersdorf. (Saksonia). — O tem zebraniu „półgłówków“ nie ma co pisać — szkoda na to czasu i atłasu. Dziękujemy serdecznie za łaskawą pamięć.

Panu Janowi Św. w Marten. — 1) W księgarni Cybulskiego w Poznaniu, św. Marcin. 2) W Galicyi. 3) Za wyrazy współczucia dla naszego więźnia-wydawcy i naszych więźniów-redaktorów najserdeczniej dziękujemy.

S. S. 11. w Berlinie. — Redakcya nie bierze za anonse żadnej odpowiedzialności. Może w tym przypadku być i łapichłopstwo....

Wykaz składek
na fundusz wrzesiński.

(Uzupełnienie).

Z Berlina: pp. Stanisław Szymański 50 fen., Marcin Jeśko 50 fen., J. Melonek 50 fen., Feliks Andrys 50 fen., Tomasz Kachlicki 20 fen., Cecylia Skwierzyńska 10 fen., Oto Papelbaum 10 fen., M. Skiera 10 fen., M. Jeszek 5 fen., razem po otrąceniu 20 fen. za porto 3 marki.

Humorystyka.

Jak umiał, tak zrozumiał.

Nowo przyjęty na służbę Błażej jest ideałem służącego: trzeźwy, pracowity służbista. Prawda, że prochu nie wymyśli, ale byłoby to zbyteczne, gdyż proch od dawna wymyślono.

Pewnego pięknego popołudnia, pracodawca, pragnąc uraczyć gościa, woła Błażeja:

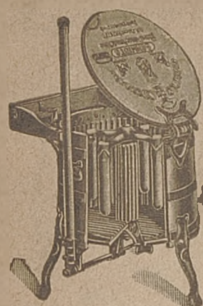
— Masz tu talara. Pójdziesz do cukierni naprzeciwko i karzesz sobie dać dwie filiżanki czarnej kawy i dwa kieliszki benedyktynu. Tylko żwawo! Na jednej nodze!...

Błażej biegnie „na jednej nodze“ Mija kwadrans, mija pół godziny. Wreszcie chlebodawca zagląda do przedpokoju, gdzie widzi spokojnie siedzącego Błażeja.

— No, cóżeś zrobił?

— Jedną kawę i jeden likier dziś wypiłem — raportuje Błażej — a jutro wypiję drugą, bo na dziś mam już dość.

— Nie mam nic przeciw panu osobiście, ale jesteś pan zbyt młody dla mojej córki.
— Dobrze, to powrócę jutro.



Maszyny

do prania bardzo praktyczne całe dębowe, niezbędne w każdem gospodarstwie z powodu znacznej oszczędności czasu i bielizny po Marek 55,00 za szt.

Wyżdżymalnie maglownie, ramy do suszenia firan. Nowość! żelazka gazowe do okowity denaturowanej, po m. 8 za sztukę.

Łóżka

dla dorosłych i dzieci, żelazne, wyściełane angielskie całe mosiężne poleca 307

T. OTMIANOWSKI.

właściciele:

B. Ziętkiewicz — S. Mincikiewicz.

Poznań — Bazar — Telefon nr. 565.

Cenniki darmo i franko.

J. Silski,

mistrz stolarski,

Poznań, ulica Wrocławska nr. 31

poleca swój

magazyn mebli

założ. w r. 1889, zaopatrzony *w meble własnego wyrobu,* znanej dobroci.

Kompletne wyprawy, osobne urządzenia pokojowe po nader nizkich cenach i rzetelnej usłudze. Dogodna spłata ratami. 210

— Chodź najdroższa, spieszmy do domu na skrzydłach miłości.

— Wiesz co, jabym wolała tramwajem.

Kupno okolicznościowe.

Ca. 4 klm. od Poznania jest na **sprzedaż** piękna jednopiętrowa **wila** na suterenach o 8-miu pokojach etc. z ślicznym ca. 6 mg. parkiem, ogrodem warzywnym i szparagarnią. Przytem są kompletne budynki gospodarcze. Kupujący może zadzierżawić jeszcze 50 mg. roli po 10,50 mk., dzierżawa trwa jeszcze 6 lat. Prócz **wili** stoi w parku dom murowany o 8-miu mieszkaniach z osobnem wyjściem, przynoszący rocznie 540 mk. dzierżawy. **Wpłaty** potrzeba 10,000 mk. Zgłoszenia przyjmuje

Dom Bankowo-komisowy

Drwęski & Langner,

Poznań, ul. Rycerska 38.

Kapelusze

damskie i mezkie

Obuwie

Bieliznę

Krawaty

Pończochy

Rękawiczki

Parasolki

Parasole

Materye

na suknie,

pościele,

meble

Dywany

Dery

Kołdry

Firany

Szkło

Porcelana

Towary galanteryjne

Wózki

dla dzieci

Kosze

do podróży

i

1000

innych

przedmiotów

poleca

najtaniej



Szanownej Publiczności miasta **Gniezna** i okolicy pozwalamy sobie uniżenie donieść, że przejęłyśmy 368

magazyn stroji
i towarów krótkich

pod firmą

H. & W. Mąke

i takowy nadal pod tą samą firmą prowadzić będziemy.

Prosząc o łaskawe poparcie, starać się będziemy Szanowną Klientelę pod każdym względem zadowolić.

Mając dostateczną i długoletnią praktykę poza sobą, jesteśmy w stanie wszelkim wymaganiom zadość uczynić, poczyniwszy osobiście w Berlinie zakupno **świeżych modeli, oraz wszelkich nowości sezonowych.**

Z wysokim szacunkiem

Jadw. Kmiecikowska. Felicya Orańska.

Gniezno, ul. Tumska nr. 5.

500,000 mk.

pieniędzy bankowych, ze strony banku niewypowiedzialne, po umiarkowanym procencie, pod korzystnemi warunkami w każdej wysokości jest do wypożyczenia na posiadłości w Poznaniu. Bliższych informacyi udzieli pod lit. **A. B. 38** administracya „Pracy“ w Poznaniu.

Skład papieru
i towarów galanteryjnych

dobrze zaprowadzony, w górnej części miasta, jest z powodu przejęcia innego interesu zaraz do sprzedania. — Egzystencya zapewniona. — Do przejęcia potrzebne 2500 do 3000 mk.

Łaskawe oferty uprasza się do eksp. „Pracy“ pod **R. R. 1010.** 357

Zdolny administrator

czasopisma

dotąd jescze w miejscu, w średnim wieku, zdrow, silny, poszukuje od zaraz lub później stósownej posady w jakiejbądź instytucy prywatnej, najmilej w banku lub kantorze, także w jakiejbądź fabryce lub w większem przedsiębiorstwie przemysłowem. Kaucyą w każdej żądanej wysokości złożyć może natychmiast Najlepsze świadectwa i referencye.

Łaskawe oferty przyjmuje ekspedycya „Pracy“ pod lit. **W. nr. 54.**

Kompletne narzędzia bednarskie

i

warsztaty

prawie nowe, tanio do nabycia. Zgłoszenia przyjmuje eksp. „Pracy“ pod lit. W. nr. 368. (368)

Do bólu zębów używaj tylko

Kropp'a watę

á fl. 50 fen. 142

(20% waty Carvacrol).

Tylko prawdziwa pod nazwiskiem „KROPP“ w drogeryach u R. Barcikowskiego, Nowa ul., I. Czepczyńskiego, Stary Rynek 8, Klarowicza i Marcinkowskiego, plac Piotra, Teodora Müllera, Berlińska ul. 16, Br. Śniegockiego, Rycerska ul. 38, K. Chmielewski, Wrocławska ul. 14/15, P. Wolff, Pl. Wilhelmowski 3.

K. Ignałowicz

Wrocławska ulica 4

Największy Dom Towarowy

w Poznaniu.

348

Pannę

do wyszynku,

Ucznia

do handlu korzennego i delikatesów przyjmie

F. Krysiński

w Ostrowie 373

Ostrowo R.-B. Posen.

Wielki wybór tapet

od 15 fen. za rulon.

Rozety i drążki do firan.

Artykuły męzkie.

Kapelusze — Krawaty

Kamizelki — Parasole i Parasolki. — białe i kolorowe

Rękawiczki — Bieliznę

poleca

W. HAHN

(właśc. Wład. Hahn) 304

Poznań, Stary Rynek nr. 55.

Mamy na sprzedaż:

1. **Dworczynę** z około 250 ha z kompl. inwent. przy wpłacie 100 tysięcy m.
2. **Dworczynę** z ok. 210 ha tak samo przy wpł. 90,000 m.
3. **Dworczynę** z ok. 150 ha " " " " 75,000 m.
4. **Dworczynę** z 108 ha " " " " 40,000 m.
5. **Dworczynę** z 77 ha " " " " 35,000 m.
6. **Dworczynę** z 63 ha " " " " 30,000 m.
7. **Dworczynę** z 10! ha 95 ar 21 □m " 50,000 m.
8. **Dworczynę** z 55 ha 35 ar 66 □m z budynkami, lecz bez inwent. przy wpłacie 19,000 m.
9. **Dworczynę** z 25 ha 84 ar 20 □m tak samo przy wpłacie 15,000 m.
10. **Gospodarstwo** kompletne z inwentarzem i około 19 ha przy wpłacie 9000 m.
11. **Nowy dom murowany** z 10½ ha roli obsianej przy wpłacie 4500 m.
12. **Nowy dom murowany** z 10 ha tak samo przy wpłacie 3500 m.
13. **Stary dom** z 15 ha roli i łąki tak samo przy wpłacie 4000 m.
14. **Place budowlane** pod **Poznaniem,** pod **Szamotułami,** pod **Strzelnem** i pod **Bydgoszczą.**
15. **Nowy dom** murowany obszerny z ogrodem 2 ha 09 ar 35 □m obszaru w **Ostrowie** pod Strzelnem
16. przy wpłacie 3000 m.
    Parcelę bez budynków kompl. obsianą w obszarze 67 ha 45 ar 60 □m pod **Środą** przy wpł. 12.000 m.
17. **Parcelę** bez budynków w obszarze 5 ha 70 ar 36 □m pod **Wronkami** przy wpłacie 2500 m
18. **Cegielnią** kompletną z bogatym pokładem gliny 10 ha obszaru przy wpłacie 6000 m.

Dworczyny ad 1, 2, 3, 7, 8 i 9 znajdują się **blisko** Poznania, ad 4, 5, 6 w Gnieźnieńskim powiecie. 392

Bank Parcelacyjny.

Adres: Posen. Victoriastrasse 12.



Kazimierz Bączkiewicz

— pojazdnik —

w Poznaniu, ulica Strzelecka nr. 31.

poleca się do wykonywania wszelkich prac w zakres **pojazdnictwa** wchodzących przy *rzetelnej usłudze i cenach umiarkowanych.* 188

Gotowe pojazdy zawsze na składzie.

---

* DOM POLSKI *

w Copotach

(ZOPPOT),

Südstr. 71 a. b. c. 72

poleca

na sezon kąpielowy

mieszkania większe i mniejsze oraz pojedyńcze pokoje. 383

Cena pokoju wraz z całodziennem utrzymaniem, począwszy od mk. 5,50 za dobę.

Całodzienne utrzymanie bez mieszkania mk. **4,25. Obiady** w abonamencie po mk. **1,75,** bez abonamentu **2,00.**

Mieszkania bezwarunkowo suche. Położenie nader piękne: tuż nad morzem przy parku, blizko kurhauzu i kąpielni.

* *

Rzetelne

ubieganie się, bystre na równi z obcym przemysłem.

Za dobry towar dużo uznań piśmiennych.

W celu uzyskania jak najwięcej odbiorców i stawienia wybitnej konkurencyi obcym fabrykatom, postanowiłem odtąd moje wyroby jeszcze *taniej sprzedawać,* niż do tego czasu. Na próbę polecam franko przez zaliczkę 1 paczkę pocztową zawierająca 100 cygar za mk. 2,40, 2,60, 3,00, 3,40 i 3,70, ***razem 500 szt. za 15 mk. 10 fen.,*** lub: 100 cygar za mk. 2,50, 2,70, 3,20, 3,50 i 4,50 ***razem 500 szt. za 16 mk. 40 fen.*** Przy zamówieniu proszę zaznaczyć, czy się życzy mały, średni lub duży format i czy lekkie, średnie lub mocne. Jestem pewien, że zadowolnię każdego ponieważ wybór mam wielki.

P. URBANOWSKI

FABRYKA CYGAR, GNIEZNO.

Feliks Suppert,

Poznań,

ulica Wroniecka nr. 91

poleca

mąkę, osucie,

jako też i 425

towary spożywcze

po najtańszych cenach.

Potrzeba od Lipca:

Nauczycielki,

któraby chłopca mogła przygotować do sexty. 423

Nauczycielki egz.

muzykalnej na 600—700 mk.

Bony

z praktyką do Królestwa na 240 mk. w pobliżu granicy.

Roman Koczorowski,

Stellenvermittler,

Posen, Schützenstrasse 3 B

Dnia 1-go lipca r. b. o godz. 4 po południu odbędzie się **w Poznaniu w Bazarze**

nadzwyczajne walne zebranie

„WESTY," Banku wzajemnych Zabezpieczeń na życie, na które uprawnionych do głosowania członków (§ 7, 8 i 9 ustaw) niniejszem uprzejmie zapraszamy, nadmieniając, że karty wstępu za okazaniem certyfikatów resp. polis wraz z kwitem na ostatnią składkę wydawać będzie biuro nasze od 21 do 30 czerwca r. b. pomiędzy godz. 9 z rana a 1 z południa i godz. 3 a 6 po południu. Zastępcy winni się zaopatrzyć w odpowiednie pełnomocnictwo. (§ 9 ustaw.) 428

Porządek dzienny:

1. Zatwierdzenie uchwalonych na walnem zebraniu z d. 24 maja r. b. zmian statutu.
2. Upoważnienie dla Rady Zawiadowczej do poczynienia poprawek w uchwalonych przez walne zebranie zmianach statutu, o ile by władza nadzorująca miała jeszcze przed udzieleniem swego potwierdzenia jakich zmian zażądać.

Poznań, dnia 26 maja 1902.

„WESTA," Bank wzajemnych Zabezpieczeń na Życie.

Za Radę Zawiadowczą: **Dr. Rzepnikowski,** prezes — Dyrektor Generalny: **Dr. Mieczkowski.**

Puszki blaszane do szparagów.

Lodownie

(szafy do lodu) ulepszonego systemu. — Maszynki amerykańskie do wyrabiania lodów.

Żaluzye

drzewiane i rolosy sztabikowe do okien.

Meble

ogrodowe (krzesła, ławki stoły, fotele). — Krzesła trzcinowe, ściany drzewiane. Maszynki do koszenia trawników.

Wanny

do kąpieli nasiadowych, zwyczajne i bujane, bardzo praktyczne (Schaukelbadewannen do kąpieli potrzeba 30 litr. wody) po mk. 42 00 za sztukę, poleca

Nożyce do szparagów i róż.

T. Ołmianowski

właściciele: (407)

B Ziętkiewicz — S. Mińcikiewicz

Poznań — Bazar — Telefon nr. 565.

Cenniki darmo i franko

Człowiek nie mógłby się obejść bez innych zwierząt, inne zwierzęta zaś obeszłyby się z łatwością bez człowieka.

Dobre mydło

kupuje się w fabryce 42

St. Żychlińskiego w Gnieźnie.

Piegi usuwa i konserwuje płeć

hygieniczne mydełko lanolinowe.

Swiece kościelne każdej wielkości.



Premiow. w Krakowie 1900 na wystawie Przyrodniczo-lekarskiej.



Maszynista, kawaler, 27 lat liczący, z Westfalii, posiadający znaczną sumę gotówki, poszukuje dla braku znajomości pań 426

towarzyszki życia.

Majątek rzecz poboczna. Panny lub młode wdowy, miłej powierzchowności, z Księztwa lub Sląska, zechcą łaskawie zgłosić się z dołączeniem fotografii pod lit. K. D. 105 Postamt Marten Kr. Dortmund.

Dyskrecya rzecz honoru.

Niezrażony.

Bankier: A zatem prosisz pan o rękę mojej córki, panie baronie? Czy pan ma majątek?

Baron: Chwilowo jeszcze nie, ale spodziewam się, że majątek dostanę.

Bankier: To ślicznie. A od kogo, jeśli wiedzieć wolno?

Baron: Od pana.

Rzecz szczególna: wszyscy mają swoich ubogich, a ubodzy nie mają nikogo.

Hurtownie! Detalicznie!

Farby, pokosty, lakiery,

froter, masę woskową do odświeżania podłóg, mebli ogrod., płotów etc., jako też potrzebne szczotki i pendzle do tychże. Carbolineum koloru orzechow. Wszystko znane ze swej dobroci poleca po znanych tanich cenach hurtownie i detalicznie 738

Centralna Drogerya
J. Czepczyński,

Poznań, Stary Rynek nr. 8.



Telefon nr. 238.

Niech każdy sam osądzi!

Tanio! **Bez konkurencyi!**

wysyłam moje znakomite cygara:

100	sztuk	nr. 27	mrk.	2,40
100	„	„ 55	„	2,80
100	„	„ 39	„	3,60
100	„	„ 32	„	4,20
100	„	„ 41	„	4,60
100	„	„ 97	„	5,60
100	„	„ 84	„	6,40

i inne do mrk. 20 za 100 sztuk, papierosy własnej fabrykacyi za 100 sztuk od mrk. 0,55 do 4,00 mrk. Wysyłka odwrotną pocztą! (233)

„Union“ wysyłkowy dom cygar.
Strzygłów (Striegau Schl.)

Hotel

w mniejszem mieście W. Ks. Pozn., połączony z restauracyą i winiarnią, tuż obok kościoła kat., składający się z 1-no piętr. kamienicy, obszernej i mocno zbudowanej, sali do zabaw, śpichrza itd., jest jedynie z powodu choroby pod korzystnemi warunkami **zaraz** do sprzedania. Zabezpieczenie od ognia wynosi 48,000 m. Cena ostateczna 36,000 m. przy zaliczce najmniej 10 tys. marek, towarów nie potrzeba przejmować. 398

W obszernych lokalach zaprowadziłby można z powodzeniem

handel kolonialny, żelaza lub drogeryjny,

którego właśnie nie ma w tej dobrej i wielkiej okolicy.

Reflektanci zechcą się zgłosić pod lit. W. F. **Inowrocław** poste restante.

Tylko z powodu śmierci

jest tanio do *sprzedania* w *Bojanowie* przy rynku w bardzo korzystnem położeniu

KAMIENICA

nadająca się do każdego interesu *przy zaliczce 6,000 mrk.* Bliższych wiadomości udzieli

DOM BANKOWO KOMISOWY
Dryęski & Langner
POZNAŃ ulica Rycerska nr. 38.

Matjasy

wyborowe poleca najtaniej w sądeczkach po 30 i 60 sztuk

Szczeciński hurtowny handel śledzi i nafty

Maciejewski i Sp.

Poznań, 422
Wielkie Garbary nr. 23.
Telefon Nr. 872.

Starszy człowiek

z ładnym charakterem pisma poszukuje za skromnem wynagrodzeniem w jakim kantorze lub większem przedsiębiorstwie zatrudnienia. Łaskawe oferty pod liter. **W. T.** do ekspedycyi „Pracy.“

Bona

Polka, w wieku 20 do 30 lat, dokładnie obeznana z szyciem, potrzebna do trzechletniego chłopczyka 421

w Dom. Siembowo p. Podobowitz

i niezwłocznie zgłosić się może.

Borowy

kawaler, obeznany z kulturami i szkółkami leśnemi, potrzebny od 1. 7. r. b.

Zgłoszenia do ekspedycyi „Pracy“ pod nr. **429.**

— Walek, a jak tam z majstrową? żyjecie w dobrej komitywie?

— W doskonałej! Stara ma o mnie nawet bardzo wysokie pojęcie: uważa mnie za artystę!

— Jak to?

— No, za głodomora!

Ucznia
i 424
wolontaryusza

poszukuję do mego składu bławatów i towarów krótkich.

Leon Nagajewski,
Wronki.

UCZNIA

382
z lepszem wykształceniem szkólnem poszukuje **zaraz**

M. Jankowski
Drogerya w Grodzisku.

---

2 uczni

znajdą miejsce zaraz w handlu kolonialnym, win i destylacyi. 431

J. Wrzesiński,
Wronki.

//BACZNOŚĆ//

Nowa Spółka Krawiecka

Poznań, Stary Rynek 85 parter,
przy ulicy Zamkowej

poleca Szanownej Publiczności miasta Poznania i okolicy na sezon wiosenno-latowy swój bogato zaopatrzony magazyn ***gotowej garderoby męzkiej i dla chłopców, oraz olbrzymi skład materyi krajowych i zagranicznych,*** które sprzedajemy z łokcia bardzo tanio.

Wszelkie zamówienia na miarę wykonujemy spiesznie, elegancko i tanio. Prosimy uważać na firmę 272

Nowa Spółka Krawiecka,
Stary Rynek 85 parter.
(przy ul. Zamkowej.)

Nieodzowna dla każdego patentowana

TUCKER'A 282

kasa do pieniędzy alarmująca

Zamykana na *32* różne sposoby, zapobiega kradzieżom handlowym; w Ameryce przeszło milion w użyciu. Cena 20 mk. (24 kor.) przesyłka 25 do 50 fen. Dostawa tylko za gotówkę. Zamówienia przyjmuje

A. Cybulski, księgarnia, Poznań.
Wyłączny zastępca.

„Italia“

pierwsza poznańska fabryka

makaronów włoskich

podaje do wiadomości Szanownej Publiczności, że otworzyła

przy ul. Szkolnej 15

w narożnej kamienicy ulic Nowej i Szkolnej — wchód z ulicy Szkolnej.

Skład hurtowny i detaliczny

i poleca się względom odbiorców. 743

August Tucholka. właściciel fabryki.

Niesłychane!

400 szt. za tylko 3 m. 50 fen.

Piękny zegarek pozłacany z pięknym łańcuszkiem, z trzyletnią gwarancyą, piękna skórzana portmonetka, elegancki pierścionek z imitowanym kamieniem, piękny nożyk kieszonk., szpilka do krawaty z bryl. simil., garnitur guzików doublé do mankiet i koszul, przepysz. lustro tualet. kieszonk., 5 przedmiot. krotochwil., piękna nikl. pisarka, 25 eleg. przedm. do koresp., paryska broszka dla dam, para butonów z bryl. simil. bardzo ludz., oraz 300 szt. różn. drobiazgów w domu bardzo potrzebnych.

Wszystkie te 400 szt. z zegarkiem, który sam już wart jest te pieniądze, kosztuje tylko 3,50 mk. przez zaliczkę pocztową z wiedeńskiej hurtownej filii 427

Alex. Jungerwirth, Kraków Nr. R/110.

Za przedm. niepodob. się, pieniądze z powrotem.

Wielkie kłamstwo znajdzie prędzej posłuch niż wielka prawda.

Łazienki i zakład wodoleczniczy

Poznań, Rycerska 15.

Kąpiele zwykłe w wannach. Kąpiele z dodatkami leczniczemi wszelkiego rodzaju. Kąpiele z kwasem węglowym. Kąpiele piaskowe. Kąpiele parowe. Kąpiele [illegible]. Zabiegi wodolecznicze, tusze: zimne, ciepłe, szkockie, **parowe,** wydzielane **nowo sprowadzonym przyrządem,** systemu Profesora Winternitza.

Kąpiele elektryczne świetlane podług najnowszego systemu, Kąpiele ze światłem żarowem lub łukowem, opromienienia miejscowe, kąpiele częściowe świetlane: na tułow, na rękę lub nogę. 463